

gazet oświeca

NR 7/8/9 (27/28/29) /2013

ISSN 2084-6932



Stodko-kwaśny

012



004

OD REDAKTORA

Jolanta Wroczyńska

006

DROGOWSKAZY

Przemoc w związkach nastolatków
Agnieszka Czapczyńska

012

BEZKRESY

Baku
Waldemar Ławecki

019

BEZKRESY

Nineczka - Krzemieńczanka na tle epoki
Helena Haskiewicz

038



026

NA PAPIERZE

Bez tytułu
Kasia Bartsch-Cielebon

030

CHOPIN WIECZNIE ŻYWY

Cierpienia młodego Chopina
Piotr Mysłakowski

038

PIRUETY...

Taniec na słodko czy na kwaśno?
Agnieszka Kaczorowska

040

WYWIAD

Spotkanie na Półpiętrze?
Kasia Bożyk

048



046

NA ZDROWIE

Smaki słodko-kwaśne

048

FINAŁ KONKURSU

056

GUZIK

Kolory w modzie słodko-kwaśny
Klaudia Ofiara

060

ZAKŁADKA

Oko w oko ze sobą.
Zamiecie wszystko, zawieje
Agata Wiśniewska

062



062

BAJKI NOWE

Ucho igielne

Janina Kądziołka-Filip

064

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XXI

Kasia Bartsch-Cielebon

070

MYŚLI Z ŻYCIA

Słodko-Kwaśny. Kwaśno-słodki.

Anna Ciemniecka

074

ŻAK

W pięciu smakach

Paweł Radźko

078



076

SZORT MAT

Dualizm (...)

Michał Lewandowski

078

BABEL

MY TRAVELS

Jerusalem. The Earth was Shaken

part I

MOJE PODRÓŻE

Jerozolima. Zatrzęsła się ziemia

część I

Agnieszka Thomassen

Wydawca
Plstacja Media
Katarzyna Bogucka

Stowarzyszenie Pi-stacja
biuro@pistacjamedia.com
biuro@pi-stacja.org
www.pi-stacja.org
www.gazetownia.eu

Biuro reklamy
marketing@pistacjamedia.com

Zespół Redakcyjny
Katarzyna Bogucka
Joanna Dudek- Ławecka
Joanna Wroczyńska
Jolanta Wroczyńska

Foto
Katarzyna Bogucka
Waldemar Ławecki
Agnieszka Thomassen
Artur Radźko

Ilustracje
Aleksander Bogucki (pingwin)
Mintoft (okładka, logo Chopin)
Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład
Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna
Agnieszka Betkier

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie Gazetownia bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.
Copyright Plstacja Media 2013

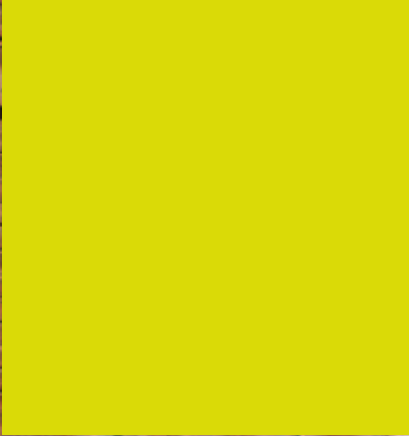
Od redaktora



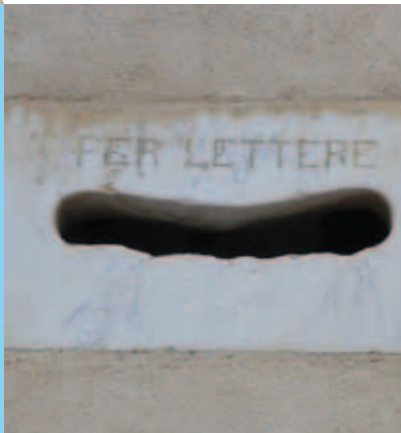
Słodko-kwaśny to nie tylko smak orientalnej kuchni czy posypana cukrem cytryna, czy polany miodem kwaszony ogórek, czy... – to po prostu smak życia. Przekonałam się o tym po lekturze artykułów, które publikujemy w wakacyjnym numerze „Gazetowni”. Zarówno nasi stali autorzy, jak i twórcy opowiadań nadesłanych na słodko-kwaśny konkurs literacki podeszli do tematu „na poważnie”, przedstawiając prawdziwie ludzkie historie, w których mieszają się radość ze smutkiem i przyjemność z cierpieniem. Te różne smaki życia stanowią nieodzowną część naszego człowieczeństwa. To pośród śmiechu przez łzy szukamy sensu życia i staramy się zrozumieć jak smakuje szczęście, do którego wszyscy nieustannie dążymy. A szczęście nie jest przecież nieuchwytną tęczową bańką mydlaną, lecz „na szczęście” jest blisko nas. Szukamy go w dobrych relacjach z innymi ludźmi oraz pożytecznej pracy, czyli pośród różnych smaków życia. Smakujcie razem z nami!

Jolanta Wroczyńska

Twoją
myśl
przekażemy
innym...



Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi



PRZEMOC w związkach nastolatków

Agnieszka Czapczyńska





Agnieszka Czapczyńska - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni Fundacji Miejsce Kobiet; Nowy Świat Kobiet.

Jestem mamą 17-letniej Beaty. Beata jest śliczną dziewczyną, ma chłopaka. Przychodzili razem do nas do domu, cieszyliśmy się z mężem, bo wszystko wydawało się układać jak najlepiej. Paweł był taki opiekuńczy, potrafił przypomnieć Beacie, żeby się ciepiej ubrała kiedy wychodzili gdzieś razem. Zawsze przyprowadzał ją do domu punktualnie. Był wobec niej szarmancki, co nas ujmowało. Od pewnego momentu jednak Beata zaczęła się zmieniać. Kilka razy widziałam jak moja córka płacze w ukryciu, nie chce wychodzić z domu, mówi, że nienawidzi swojego życia, przestała chodzić na swoje ulubione zajęcia. Potrafi spać ze swoim telefonem komórkowym pod poduszką, jakby ciągle czekała na jakąś wiadomość. Najpierw pomyślałam, że rozstali się z Pawłem. Potem coś mnie tknęło, córka ma sąsiadkę, przyjaciółkę - wybrałam się do nich i poprosiłam ją o rozmowę. Okazało się, że Paweł jest chorobliwie zazdrosny o swoją dziewczynę. Podobno zabronił jej widywania się z koleżankami i kolegami z klasy, odprowadzał ją na wszystkie zajęcia i rozliczał z każdej minuty spóźnienia, wysyłał dziesiątki sms-ów i wymagał natychmiastowej odpowiedzi. Raz doszło do szarpaniny, kiedy Beata powiedziała, że nie chce tak dalej. To już nie jest dramat zakochanej nastolatki, to jakiś koszmar. Nie wiem co mam robić. Zakazać jej kontaktów z Pawłem? Poinformować szkołę? Boję się, że mojej córce może przyjść coś głupiego do głowy!

Przemoc w związkach młodych ludzi przybiera różne formy. Większość ofiar przemocy fizycznej i seksualnej w związkach to dziewczęta, chłopcom zdarza się zwykle doświadczenie przemocy psychicznej ze strony partnerki. Najbardziej widoczną formą nadużycia jest przemoc fizyczna. Ofiary często chronią sprawcę, minimalizują przemoc jakiej doświadczają, biorą na siebie odpowiedzialność za zachowania partnera. Rodzice skazani są na domysły. Niepokojącym sygnałem są ślady przemocy fizycznej, których pochodzenia córka nie umie wyjaśnić np. siniaki, ślady na ciele wyglądające jak od uderzenia dłonią, wyrwane kępy włosów, porwana odzież, oparzenia itp. Równie niepokojące jak brak wyjaśnień czy ukrywanie obrażeń, są wyjaśnienia, które nie pasują do rodzaju albo rozmiaru śladów lub powtarzające się urazy. Przemocą jest degradowanie psychiczne partnerki, np. sprawca używa wulgarnych słów zwracając się do niej, lży ją przy świadkach, mówi o niej w obraźliwy sposób. Kolejnym dzwonkiem, który powinien zaalarmować rodziców, jest strach ich córki przed chłopakiem np. unikanie z nim spotkań, oznaki zdenerwowania na sygnał telefonu, utrzymujące się złe samopoczucie związane z partnerem, oznaki kontrolowania ofiary przez partnera – śledzenie jej, nagabywanie sms-ami czy mailami, częste telefony itp. Sygnałem alarmowym jest też pogarszająca się kondycja psychiczna ofiary – unikanie dotychczasowego towarzystwa, rezygnacja z lubianych zajęć, pasji, marzeń będących ważnym elementem życia nastolatki czy młodej kobiety, nieoczekiwana zmiana zainteresowań, stylu życia, nawyków, upodobań (np. stylu ubierania się w kierunku akceptowanym przez partnera), trudności z koncentracją uwagi, wycofanie z kontaktów, obniżony nastrój. Warto zwrócić uwagę na gwałtowną zmianę zachowania córki – obojętność wobec swojego wyglądu, ukrywanie za pomocą ubioru czy makijażu śladów przemocy, jeśli sprawca jest zazdrosny unikanie za pomocą stroju i zmiany zachowania zainteresowania innych chłopców, spadek/wzrost apetytu i związana z nim zmiana wagi (np. utrata wagi na skutek złego samopoczucia i lęku, z tych samych powodów tycie związane z objadaniem się). Wszystkie te sygnały mogą się wiązać z przemocą w związku.

Dlaczego rodzice dowiadują się na końcu?

Nawet najbardziej ufne i otwarte nastolatki, bywają rzadko kiedy skłonne do dzielenia się doświadczeniami związanymi z intymnymi relacjami z własnymi rodzicami. Powodów do tego, aby nie ujawniać swoich tajemnic

jest wiele i nie musi to świadczyć o tym, że jesteśmy złymi rodzicami. Nasze dzieci po prostu potrzebują poczuć niezależność, poszukać własnej perspektywy, odkryć swoją indywidualność. Problemy zaczynają się wtedy, gdy tajemnicą jest przemoc, która zaczyna być zagrażająca dla życia czy zdrowia dziecka. W subkulturze młodzieżowej wiele zachowań uchodzi za normę. Młoda dziewczyna może nie akceptować postępowania partnera, ale jeżeli jest ono uznawane przez grupę, raczej zaufa „stadu” niż sobie samej. Presja grupy jest motorem napędowym wielu działań nastolatków, a „posiadanie chłopaka” znacząco podnosi prestiż. Wiele dziewczyn jest w stanie zrobić naprawdę dużo, żeby zdobyć i utrzymać partnera. Znoszenie przemocy z jego strony bywa czasem ceną do zapłacenia. Ujawnienie problemu rodzicom wiąże się z ryzykiem ich ostrego i radykalnego sprzeciwu wobec tej znajomości. Nastolatki nie dostrzegają, że są ofiarami przemocy, bo wierzą, że zazdrość i zaborczość są synonimami miłości. Młoda dziewczyna dopiero zdobywa swoje pierwsze doświadczenia związane z umawianiem się na randki. Jeśli spotyka się z chłopcem, który np. zabrania jej kontaktów z kolegami, może to dla niej oznaczać, że kocha ją nad życie. Jeśli pragnie spędzać z nią każdą chwilę oraz wiedzieć, gdzie i z kim przebywa to oznacza, że jest prawdziwym romantykiem. Nadmierna kontrola, stanowiąca składnik przemocy, mylona jest z zaangażowaniem i opieką. Innym powodem milczenia ofiar jest obawa o reakcję sprawcy. Chłopcy stosujący przemoc w związku używają gróźb: „Jeżeli ze mną zerwiesz pobiję twojego młodszego brata”, „Zrobię sobie krzywdę”, „Nie będziesz wiedziała kiedy i gdzie, ale cię dorwę” itp. Ponieważ groźby te towarzyszą zwykle innym agresywnym zachowaniom sprawcy, dziewczyna ma powody wierzyć, że groźby nie są rzucane na wiatr. Dziewczyny ukrywają przemoc ze strony partnerów, bo nie chcą, żeby rodzice myśleli, że nie są wystarczająco dorosłe. Popatrzmy przez chwilę na świat oczami nastolatki. Strach, że „straci wolność” ze strony rodziców wydaje się całkiem uzasadniony. Prawdopodobną konsekwencją podjęcia działań chroniących ofiarę, może być zwiększenie kontroli ze strony rodziców. Żadnej nastolatce na pewno na tym nie zależy. Może się całkiem słusznie obawiać, że jeśli będzie chciała wyjść gdzieś z koleżankami, rodzic znający prawdę o związku, podejrzewając zagrożenie spotkaniem ze sprawcą odmówi jej swobody. Domowy rygor nie leży w interesie nastoletniej dziewczyny. Milczenie może też wynikać z poczucia winy lub strachu przed reakcją taty i mamy. Nastolatka może obawiać się ujawnienia informacji o tym, że podjęła

współżycie seksualne ze sprawcą. Jeżeli używa narkotyków czy ma kontakt z alkoholem, to naturalne, że także będzie się bała o tym mówić. Przemoc razem z innymi tajemnicami „schodzi do podziemia”.

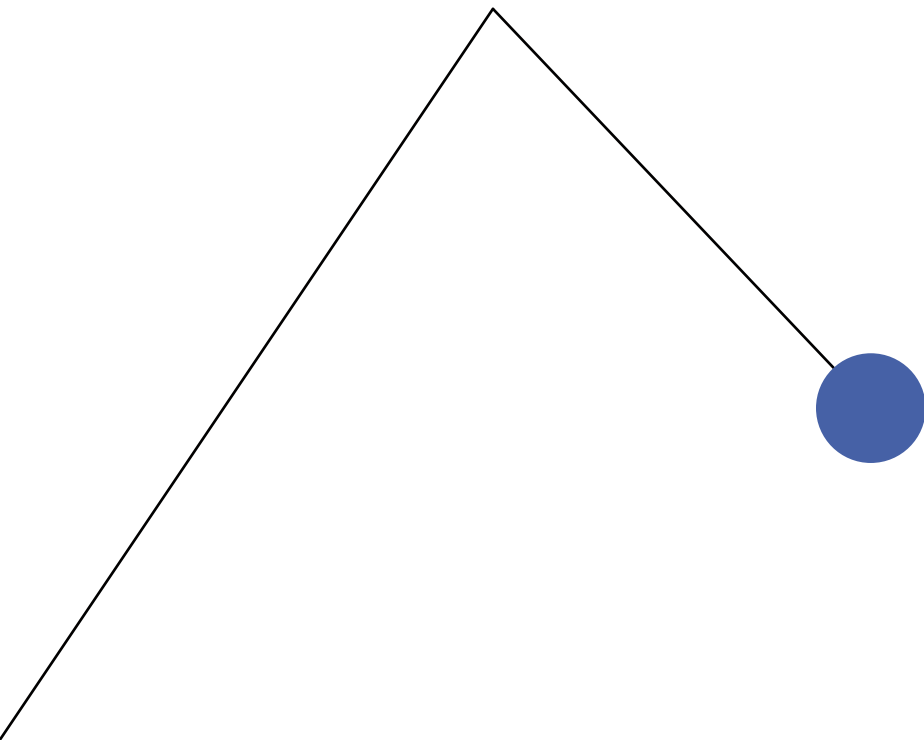
Jak rozmawiać z nastoletnią ofiarą przemocy – kilka uwag dla rodziców

Możemy jako rodzice doświadczać wszystkiego – gniewu, smutku, lęku, poczucia winy, wstydu. Każdy stan emocjonalny w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia własnego dziecka jest zrozumiały i rodzice mają do niego prawo. Warto jednak na tyle zapanować nad emocjami, aby nie rozpoczynać rozmowy z córką od ataku na nią: „Jak mogłaś być tak naiwna?” itp. czy na sprawcę: „To potwór” itp. Podobnie jak w innych trudnych rozmowach warto unikać formy przesłuchania dziecka, w zamian zaprosić do dialogu. Pomagają w tym otwarte pytania typu: „Ostatnio wyglądasz na bardzo smutną. Może porozmawiamy, chciałabym ci pomóc”, „Zauważyłam, że Krzysiek przysyła Ci ostatnio bardzo dużo sms-ów, jak się z tym czujesz” itp. Dla nastolatki jest to bardzo ważne, czy rodzic jest zainteresowany jej opinią czy przejęciem kontroli. Rozmawiając z nastolatką można rozpocząć od podsunęcia lektury jakiegoś tekstu opisującego przemoc w relacji. Być może pozwoli jej to zobaczyć swój związek w nowy sposób. W milczeniu ofiary jest pewna logika. Jeśli dotychczas nie widziała w zachowaniach partnera niczego problematycznego, czemu miałaby o tym opowiadać swoim rodzicom... Warto dać córce do zrozumienia, że rodzice nie chcą wymuszać na niej decyzji „tak lub nie” względem chłopaka. Pozwoli jej to mówić bardziej otwarcie o tym czego doświadcza i co przeżywa. To naturalne, że rodzice chcą zakończyć związek, w którym dochodzi do przemocy, jednak wymuszanie typu: „od dziś nie wolno ci się z nim widywać” zwykle pogarsza sytuację. Nastolatki często bojkotują rozkazy rodziców, jest to jeden z elementów walki o niezależność. Jako rodzicom powinno nam zależeć na tym, żeby córka podjęła własną, autonomiczną decyzję dotyczącą tego, że związek w którym pozostaje jest krzywdzący i nie warto go kontynuować. Jest to pewniejsza gwarancja jej bezpieczeństwa niż wymuszony wybór niezgodny z przekonaniami. Nie ma sensu oczekiwać, że przy pierwszej rozmowie, rodzice dowiedzą się wszystkiego. Pierwsza szczerza rozmowa o związku z chłopakiem może być formą testu dla rodzica i warto go przejść

pozytywnie. Nastolatki bardzo często sprawdzają dorosłych – na ile można im zaufać, jakie mogą być konsekwencje ujawnienia prawdy, na ile rodzice okażą zaufanie itp. To ważne, żeby nastolatka wiedziała, że niezależnie od tego co zrobiła nie zostanie odrzucona i zawsze może się zwrócić o pomoc. Warto o tym mówić wprost. Jeśli nastolatka mimo wszystko decyduje się pozostawać w związku z krzywdzącym ją parterem, trzeba pomyśleć o poszukaniu profesjonalnej pomocy psychologicznej, czasem też medycznej i prawnej, która pomoże zapewnić jej bezpieczeństwo. Pomocy można szukać na stronach www.niebieskalinia.pl oraz www.porozumienie.niebieskalinia.pl.

Nie wolno minimalizować skutków przemocy w związkach nastolatków tylko z tego powodu, że uważamy tę relację za „dziecinadę”. Skutki przemocy potrafią być równie drastyczne jak przy przemocy w związkach dorosłych.

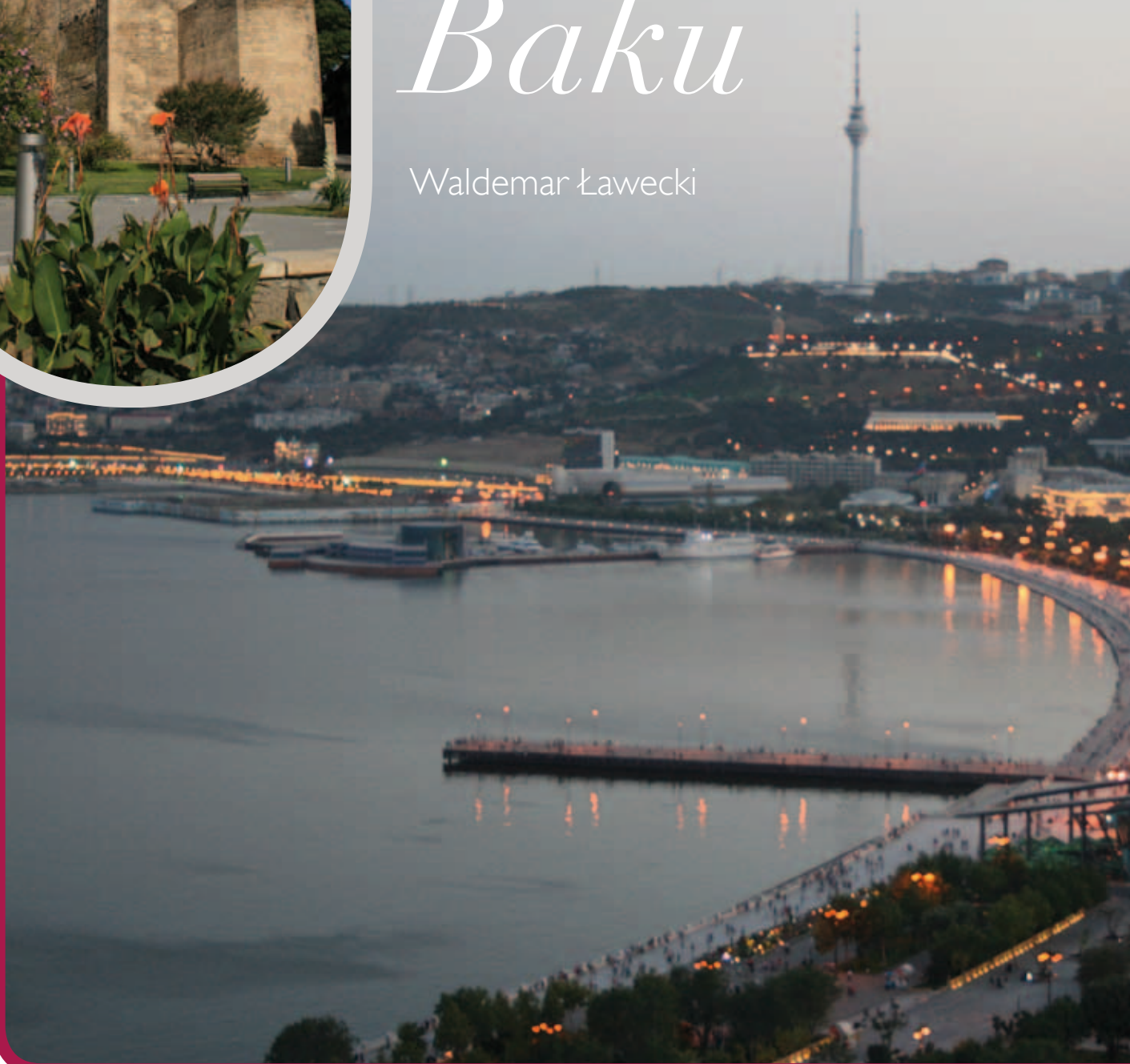
AC





Baku

Waldemar Ławecki





Jeden z moich znajomych, który dużo podróżuje po świecie, zadał mi ostatnio pytanie o wskazanie najładniejszego miasta spośród miast byłego Związku Radzieckiego. Potrzebowałem tylko krótkiej chwili, aby zdecydowanie odpowiedzieć, że to Baku.

Baku zrobiło największą karierę nie tylko w skali Kaukazu. Ze stosunkowo niedużej jeszcze w połowie XIX wieku miejscowości, zmieniło się w ogromne miasto, które stało się stolicą Azerbejdżanu. Swoje złote lata przeżywało na przełomie XIX i XX wieku, w okresie słynnej gorączki naftowej, kiedy stało się światową stolicą nafty. W tym okresie powstawały najpiękniejsze budowle miasta, stworzone w charakterystycznej dla niego architekturze. Także kolejne lata rozwoju przyniosły szybko powstające, jak grzyby po deszczu, nowe okazałe budowle – może już nie z takim przepychem jak





w okresie boomu, ale wyraźnie nawiązujące do tradycyjnego stylu. Natomiast to, co zrobiono w ostatnich latach, musi budzić podziw i uznanie wszystkich przybyszów. Baku ma charakter światowej metropolii. Obok zadbanej historycznej części i obok ulic z pałacami z okresu „naftowej gorączki”, powstało nowe duże nowoczesne miasto. Ulice są szerokie i uporządkowane: chodniki, aleje, nadmorska promenada, parki i liczne ogródki restauracyjno-kawiarniane, zachęcają przybyszów do spacerów i odpoczynku. Na każdym kroku widać bogactwo i wręcz przepych, które świadczą o naftowym bogactwie obecnych włodarzy miasta.

Apszeron

Najstarsza nazwa miasta, spotykana w kronikach z V wieku, to Bagawan – związana jest z istniejącymi na tym terenie świątyniami czcicieli ognia. Od niepamiętnych czasów w wielu miejscach Apszeronu, półwyspu na którym leży Baku, płonęły „wieczne ognie”, które powstawały w miejscach ujścia gazu ziemnego. W dawnych czasach te naturalne ognie były utożsamiane z bóstwami, a mieszkańcy tych terenów oddawali boską cześć wydobywającemu się z ziemi ogniowi, co przyciągało do tych miejsc wielu pielgrzymów. Z czasem wokół jednej z takich grup naturalnych ognia powstała osada, która stopniowo przekształciła się w miasto-twierdzę, ognistą stolicę świętych ognia.

Począwszy od wczesnego średniowiecza podstawą ekonomiki Baku było wydobywanie ropy naftowej i soli oraz uprawa szafranu. Dobra te

wywożono do różnych krajów, zarówno lądowymi jak i morskimi szlakami handlowymi. W XIV wieku Baku stało się głównym portem na Morzu Kaspijskim i ważnym miastem całego Bliskiego Wschodu, biorąc aktywny udział w międzynarodowym handlu także innymi towarami pomiędzy Wschodem i Zachodem.

W latach 1723-1735 Baku znalazło się po raz pierwszy pod władzą Rosji i stało się stolicą chanatu bakińskiego, obejmującego obszar całego Apszeronu, a na stałe Rosjanie zajęli Baku w 1806 r., które wraz z obszarem północnego Azerbejdżanu weszło w skład rosyjskiego imperium.

Z tego okresu zachowały się zabytki wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO, jak Baszta Dziewicza (XII w.) i Pałac Szachów Szyrwanu (XIV-XVII) oraz zrekonstruowana w XVII-XVIII wieku Świątynia Czciocieli Ognia w podbakińskiej miejscowości Surachany, które stanowią główne atrakcje turystyczne.

„Gorączka naftowa”

Największy i mający mało analogii w historii rozwój miasta nastąpił na przełomie XIX i XX wieku w związku z rozpoczęciem przemysłowego wydobycia ropy naftowej. Jeszcze w 1855 r. miasto miało zaledwie 8374 mieszkańców. Za początek słynnej gorączki naftowej przyjmuje się 1872 rok, kiedy odbył się pierwszy przetarg na działki naftowe. Na polach naftowych Baku narodziły się fortuny wielu firm, czego klasycznym przykładem stała się założona w 1875 r. przez Roberta Nobla firma „Nobel Brothers Naphta Company”, w której współdziałowcami byli jego bracia Ludwig i Alfred. To właśnie w dużym stopniu dzięki zarobionemu w Baku kapitałowi Alfred Nobel mógł ufundować słynną dziś Nagrodę Nobla. Nazwy innych zachodnich firm, które działały w Baku w tym okresie jak firma Rotszylda, Standart Oil czy Shell również mówią same za siebie. W okresie „gorączki naftowej” Baku dostarczało ponad połowę światowego wydobycia ropy naftowej. Słynne stało się wówczas powiedzenie Roberta Nobla – „Jeśli nafta jest królową, to Baku jest jej tronem!”

Nie do poznania zmieniło się też samo miasto, które w 1918 r. osiągnęło liczbę prawie 250 tysięcy mieszkańców, stając się nie tylko największą aglomeracją, ale i przemysłowym, kulturalnym i politycznym centrum kraju. W czasach „gorączki naftowej” powstawały najpiękniejsze budowle Baku, przy czym zbudowano nie tylko wiele okazałych kamienic i pałaców magnatów naftowych, ale i wiele budynków użyteczności publicznej. O finansowej zasobności miasta w tym okresie krążyły legendy. W czasie gdy arabscy szejkwowie prowadzili jeszcze koczowniczy tryb życia i ich bogactwem były stada wielbłądów, naftowi magnaci

Baku budowali domy przypominające pałace, sprowadzali najbardziej ekskluzywne towary z Europy i wypoczywali w najbardziej znanych europejskich kurortach.

„Gorączka naftowa” ściągała do Baku ludzi najróżniejszych narodowości, dając możliwość znalezienia pracy lub zainwestowania kapitału, co sprawiło, że Baku stało się najbardziej kosmopolitycznym miastem Kaukazu. Dzięki wzajemnemu przenikaniu się wielu kultur sformowała się wyjątkowa, swego rodzaju społeczność miejska, która wydała wiele błyskotliwych indywidualności.

Secesja Gostawskiego

Niewiarygodnie szybki rozwój miasta na przełomie XIX i XX wieku spowodował, że do Baku przybyło wielu architektów. Ludzie wzbogaceni na wydobyciu ropy naftowej zamawiali do zaprojektowania wiele kamienic i domów czasem przypominających pałace. Ogromną i decydującą rolę w zabudowie miasta odegrali polscy architekci, którzy zapoczątkowali w tym okresie oryginalny, niepowtarzalny styl okrzyknięty bakińską secesją. Należeli do nich m.in. Eugeniusz Skibiński, Kazimierz Skórewicz, Józef Płoszko



i Józef Gosławski. Najbardziej znani byli dwaj ostatni, ale największe zasługi miał Gosławski, który stworzył w zasadzie oblicze miasta.

Urodzony w 1865 roku w Warszawie, Józef Gosławski przyjechał do Baku w 1891 r., gdzie powierzono mu budowę prawosławnego soboru pod wezwaniem Aleksandra Newskiego (obecnie już nie istniejącego). Rok później objął stanowisko naczelnego architekta miejskiego i od tego momentu do wybuchu I wojny światowej naczelnymi architektami Baku byli Polacy. Z objęciem tego stanowiska przez Gosławskiego rozpoczęło się wprowadzanie w Baku profesjonalnej architektury. Miasto do tego okresu rozwijało się żywiołowo, dopiero Gosławski stworzył architektoniczny plan Baku i realizował go z żelazną konsekwencją. To właśnie on zapoczątkował styl bakińskiej secesji, nawiązujący do motywów klasycznych i elementów dawnej architektury Azerbejdżanu. Do tej pory w Baku budowano przeważnie w stylu neoklasycyzmu. Projektując wiele gmachów w centrum Baku, korzystał też z wielkim artyzmem z motywów sztuki mauretańskiej, a także z gotyku, w którym widział reminiscencje Wschodu. Wszystkie zaprojektowane przez niego budynki mają wspólne cechy urbanistyczne, dzięki zastosowaniu do elewacji miejscowych materiałów. Gosławski pierwszy zorganizował brygady kamieniarzy, którzy wykuwali w miejscowym kamieniu wapiennym ozdobne detale według jego rysunków. Projektowane przez tego utalentowanego architekta domy mieszkalne są dobrze przystosowane do miejscowego klimatu, dzięki licznym balkonom i galeriom zwróconym na północ, skąd prawie zawsze wieją wiatry zapewniające mieszkańcom wytchnienie w czasie upałów. Gosławski zmarł w Baku w 1904 r., pozostawiając po sobie piękno architektury, które możemy jeszcze dzisiaj podziwiać, odwiedzając m.in. Muzeum Historyczne, mieszczące się w dawnej rezydencji Tagijewa.

Abdykacja

W początkowym okresie I wojny światowej Baku znalazło się z dala od areny działań wojennych i docierały tam tylko dalekie echa wojny. Sytuacja uległa jednak radykalnej zmianie w 1917 r. Po rewolucji lutowej, a zwłaszcza po rewolucji bolszewickiej, Baku weszło w bardzo burzliwy okres swej historii, stając się centrum zachodzących w Azerbejdżanie wydarzeń. Szczególnie niespokojny był rok 1918, kiedy władza w Baku przechodziła kilkakrotnie z rąk do rąk – miasto doznało zniszczeń, a wielu jego mieszkańców zginęło zwłaszcza w czasie tzw. wydarzeń marcowych. W okresie I Azerbejdżańskiej Republiki 1918-1920 Baku stało się już formalnie stolicą kraju.

Wkroczenie Armii Czerwonej do Azerbejdżanu w kwietniu 1920 r. i przekształcenie kraju w jedną z republik sowieckich zakończyło najświetniejszą epokę w dziejach miasta. Firmy

zagraniczne zmuszone były opuścić Azerbejdżan, a ich majątek został znacjonalizowany, podobnie jak i majątek miejscowych przedsiębiorców.

Wobec hermetyczności sowieckiej ekonomiki świat zaczął poszukiwać nowych źródeł ropy naftowej i po przymusowej abdykacji Baku zaczęli się pojawiać inni pretendenci na naftowy tron. Azerbejdżan nadal jednak zachował wiodącą pozycję w przemyśle naftowym Związku Radzieckiego. W końcu lat 30. XX wieku, w czasie największego nasilenia represji stalinowskich, Baku utraciło wskutek prowadzonej polityki przymusowej ateizacji znane świątynie różnych wyznań. Zniszczono m.in. wielki sobór prawosławny pod wezwaniem Aleksandra Newskiego, polski kościół katolicki i liczne meczety.

W czasie II wojny światowej Azerbejdżan odegrał ogromną rolę, dostarczając paliwo dla armii radzieckiej. Celem Niemców w wielkiej bitwie stalingradzkiej, która była przełomem w działaniach wojennych na wschodnim froncie było przedarcie się na Zakaukazie i opanowanie złóż naftowych Apszeronu, co prawdopodobnie zadecydowałoby o zwycięstwie Niemców w wojnie.

Nowy etap w historii miasta nastąpił w końcu lat 80. XX wieku. Pieriestrojka otworzyła granice, a niespokojny okres rozpadu Związku Radzieckiego i pogarszająca się sytuacja ekonomiczna sprawiły, że bardzo wielu bakińców opuściło swoje miasto, rozjeżdżając się po całym świecie. Do Baku przybyli natomiast uciekinierzy z Armenii i terenów okupowanych oraz ci mieszkańcy prowincji, których trudna sytuacja ekonomiczna zmusiła do poszukiwania w Baku pracy i możliwości zarobku.

WŁ



NINECZKA - KRZEMIEŃCZANKA NA TLE EPOKI

HELENA HAŚKIEWICZ

Dom Nieneczki – jeden z najstarszych w Krzemieńcu (z 1856 r.). Omszały, stoi pod niewysokim wzgórzem, z którego rozpościera się cudowny widok na wyrastającą z zieleni dzwonnica monasteru i zabudowania poreformackie. Dom, niegdyś okazały, ośmiopokojowy, półpiętrowy, mimo zniszczonego ganku i popękanych ścian, nie sprawia przygnębiającego wrażenia ruiny. Latem, cały skąpany w słońcu, obłany zielenią krzewów i starannie pielęgnowanych przez Nienieczkę kwiatów, niby z minionej epoki, pogodnie przypatruje się miastu wykrzywionymi okiennicami i zda się być całkiem pogodzony z życiem. Jest ulubionym obiektem miejscowych malarzy. Jego wizerunki zdobią mieszkania wielbicieli Kresów na całym niemal świecie. Wrażenie przeniesienia się do innej epoki nasila się wewnątrz, gdzie – parafrazując słowa poety, „nędza z pięknem

połączona”. U progu, zamiast wycieraczki skrawek prawdziwego perskiego dywanu, dalej bogato rzeźbiony kredens z marmurowym blatem dyskretnie zasłania prowizorycznie zalepioną dziurę w ścianie. Pośrodku pokoju duży obiadowy stół wciąż czeka na biesiadników, nieco kulejąc na wykrzywionej podłodze, a stary fortepian w kącie zda się za chwilę zabrznieć walcem Chopina. Na wszystkim widać piętno osobowości jego mieszkanki. Wszystko czyste, schludne, zadbane. Niestrudzone ręce Nieneczki pilnują porządku. „Właścicielka dóbr ziemskich i dom własny w Krzemieńcu” – ironizował jej stary przyjaciel Lolek Kapusiewicz.

Nieneczka siedzi przy stole. Czyta. Ma niesamowicie piękne niebieskie oczy, otoczone długimi rzęsami, gęste włosy, układające się w ładną fryzurę,

kształtne, choć sterane pracą ręce i ... 83 lata na barkach. **ФОТОГРАФІЯ СТАРОЇ НІНИ ПАВЛІВНИ**

Chcąc uwiecznić nazwiska znanych postaci, które przewinęły się przez dom pani Niny Masłowskiej, deska pamiątkowa musiałaby być tak duża, że stare ściany runęłyby pod jej ciężarem. Gościli tu, m.in. najwybitniejsi badacze twórczości Juliusza Słowackiego, profesorowie warszawscy – Zbigniew Sudolski i nieodżałowany Stanisław Makowski, eseista Włodzimierz Paźniewski, rosyjski poeta Leonid Wyszesławski, ukraińska pisarka Halina Gordasiewicz. Tylko pani Nina potrafiła tak przyjmować gości!

Niespodziewana wizyta znajomych z Polski. Wspomnienia, rozmowy. Czas mija błyskawicznie, wypada już pomyśleć o poczęstunku. Pani Nina bez cienia zmieszania, najspokojniej idzie do ogródka, zrywa parę kabaczków i w czasie, kiedy goście podziwiają malowniczy ogród, podsmaża te kabaczki na zwykłym oleju, godnie i bez pośpiechu elegancko je podaje. Goście zjadają to proste danie jak najwykwintniejszą potrawę. Pyszne kabaczki! – nie mogą się nachwalić, a byli to ludzie więcej niż dobrze sytuowani materialnie.

Nina Masłowska, córka Pawła i Anny z Iszczuków Noskow, jest typową mieszkanką Porubieża. W jej żyłach płynie krew trzech narodów – polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego, połączonych na tych ziemiach historycznie, lecz do końca nigdy nie pojednanych. Matka chorowała na gruźlicę, a była to choroba dziedziczna, gdyż prawie cała rodzina ze strony matki umarła na tę chorobę. Nowonarodzoną Nineczkę ojciec przyniósł w wiklinowym koszyczku do swoich rodziców, którzy się nią zaopiekowali. Matka odwiedzała ich nie częściej, niż raz w tygodniu i ze względów bezpieczeństwa starała się trzymać z dala od dziecka. Nineczce pozwalano tylko zasnutować

mamie buty, kiedy wracała do domu. Niedługo i te rzadkie wizyty skończyły się. Anna zmarła w 1932 r., a pięcioletnia Nineczka została u dziadków, którzy zastąpili jej rodziców, dlatego warto o nich wspomnieć dokładniej. Babcia (Nineczka nazywała ją mamą) Seweryna Antonina ze szlacheckiej rodziny Górskich – Polka i dziadek Mikołaj Noskow – Rosjanin. Rodzina dziadka pierwotnie mieszkała w Żytomierzu, a w 1911 r. przeniosła się do Krzemieńca. Seweryna i Mikołaj Noskow mieli dziewięcioro dzieci, ale dorosło tylko troje – Paweł (ojciec Nineczki), Konstanty, oraz córka Natalia. Podczas I wojny światowej rodzina przyszłego dziadka Nineczki została przesiedlona w głąb Rosji, do Tambowa. Stamtąd powrócili do Krzemieńca, ale nie wszyscy. Córka Natalia, którą ambitni rodzice chcieli widzieć co najmniej generałową, została porwana przez zakochanego w niej na zabój Wołodę Potapowa – kozaka armii Szymona Petlury. W porwaniu, ku zgorszeniu rodziców, pomagał młodszy brat oblubienicy – Kostek. Ślad po nich na długo zaginął, uważano ich za nieżyjących. Jak się jednak okazało, Natalia z mężem osiedli w Kijowie. Nie afiszowali się, by ukryć petlurowską przeszłość męża. **ФОТОГРАФІЯ ПЕТЛЮРІВСЬКОГО КОЗПАКА**

W okresie międzywojennym Noskowowie mieszkali na Syczówce, niedaleko Skałek Dziewichych, potem przy Dżerelnej. Dziadek Mikołaj Noskow pracował jako starszy akcyzny inspektor gorzelni w Horynce, koło Krzemieńca, a potem – w konsystorium prawosławnym w Krzemieńcu. Ojciec Paweł był urzędnikiem kolejowym w Mikołajówce koło Smygi.

Oczkiem w głowie rodziców był najmłodszy syn, Konstanty. Zdolny i przystojny, ukończył szkołę podchorążych w Równem. Tam też został oficerem. **ФОТОГРАФІЯ ОФІЦЕРІВ**
Był zaręczony z Raisą, córką znanego na cały



Krzemieniec i okolice felczera Włodzimierza Kobzarenki. Któż w Krzemieńcu nie znał Kobzarenki!? Ten felczer podobno potrafił robić cuda, jego umiejętności mógł pozazdrościć niejeden lekarz, a na dodatek skutecznie leczył choroby weneryczne, więc nie dziw, że do jego dworu prawie codziennie stała długa kolejka furmanek i faetonów. Cała rodzina Nineczki polubiła narzeczoną Kostka. Dość niepozornej urody, Raisa ujmowała emanującą dobrocią i serdecznością. Bardzo też kochała małą Nineczkę, bawiła się z nią, robiła dla niej lalki. Planowała, że po ślubie oboje z Kostkiem zajmą się Nineczką i zadbają o jej przyszłość.

Nadszedł sierpień 1932 roku. Kostek przybył z Równego na urlop i po raz pierwszy nie pobiegł natychmiast odwiedzić narzeczonej. Był roztargniony, zamyślony, jakby nieobecny. Wyznał

ojcu, że ma romans z niezwykle piękną żoną swego przełożonego. Ojciec zaklinał, by Kostek natychmiast prosił o przeniesienie do innego pułku – lecz który zakochany usłucha takiej dobrej rady? Po trzech tygodniach rodzina dostała szarą kopertę z wojskowym stemplem z zawiadomieniem, że ich syn, Konstanty Noskow, zginął. Dramat rozegrał się klasycznie: starszy o 20 lat, zazdrosny mąż, niespodziewanie wraca o niewłaściwej porze, trudne dla wszystkich wyjaśnienie sytuacji i pojedynek, jako jedyne wyjście honorowe. Pojedynek miał być tzw. „amerykański”. Wyciągnięty róg chusteczki z supelkiem oznaczał, że przeciwnik sam musi zejść z drogi. Los wskazał na Kostka. Bóg jeden wie, co działo się w jego sercu w noc przed zgonem. Zostawił zapiski, które potem przekazano zrozpaczonemu ojcu. W domu wielokrotnie je czytano. Nina po wielu latach cytuje na pamięć ich fragmenty: „Na jutro obiecują piękną pogodę,

ale ja już tego nie zobaczę.” „Biedni, biedni moi staruszkowie i ty, mała Nineczko. Przebaczcie, nie knijcie, z tego świata zejść muszę.” „Honor polskiego oficera jest mi droższy od życia”. A także wspominał „kochane ręce”, pamiątki, „które Ty, kochana, dałaś mi w prezencie”. Choć nie wymieniał imienia, można było zrozumieć, że nie chodziło o Raisę. Zszedł ze świata, kochając inną kobietę. Na pogrzeb do Równego pojechali we trójkę: ojciec, brat i Raisa Kobzarenko. A wróciwszy – ledwo zdążyli na pogrzeb mamy Nineczki – Anny.

Dramat ten miał ciąg dalszy. Narzeczoną Konstantego nie mogła opanować rozpacz. Czuła ciągłą potrzebę rozmów o swoim ukochanym, przebywania wśród jego najbliższych i codziennie odwiedzała dziadków Nineczki. We własnym domu nie mogła liczyć na zrozumienie. Matka nie szczędziła jej docinków. Przechodząc do swego pokoju przez duży salon, w którym co wieczór goście grali w preferansa, słyszała cierpkie uwagi matki typu: „Co, zginał, ale nie przez ciebie!” Tymczasem rodzicom Kostka przysłano jego pistolet (był przed wojną taki zwyczaj). Ojciec, nie będąc w stanie rozpakować paczki, schował ją na górnej półce w szafie. Raisa gorączkowo dopytywała się o pistolet, ale jej go nie pokazano. I kiedy ból rozłęki z ukochanym stał się nie do zniesienia, Raisa targnęła się na życie, usiłując przeciąć sobie żyły. Widocznie, widok własnej krwi przeraził ją, bo zabandażowała sobie ręce. Ale ból nie ustępował. Przybiegła więc do rodziców narzeczonego w czasie, kiedy pan domu był w pracy, mówiąc, że to on posłał ją, po jakąś banderolę, przygotowaną do wysłania. Była podekscytowana, jej zabandażowane w przegubach ręce szybko przerzucały rzeczy na półkach. Znalazła! Nie dając zatrzymać się domownikom, pochwyciła coś i błyskawicznie wybiegła. Jej oddalającą się postać w jasnej powiewnej sukience z pelerynką, trzymającą pod pachą paczkę, Nineczka zapamiętała na całe życie.

A wkrótce w domu Kobzarenków, w parterowym pokoju Raisy padł strzał. Na górze, w salonie, jak zwykle grali w preferansa.

Nad fortepianem u pani Niny wisi makata, przedstawiająca dwie końskie głowy – dar narzeczonej dla Konstantego Noskowa.

Od najmłodszych lat Nineczka chodziła do przedszkola przy słynnym Liceum Krzemienieckim. Latem dzieci z przedszkola i ćwiczeniówki spędzały czas na kolonii w Mackowej Dolinie. Wychowawczynią w przedszkolu była pani Mądralówna. To do niej z płaczem żaliła się mała Nineczka, posadzana o malowanie i wydłużanie rzęs. Miała bowiem rzęsy czarne, długie i gęste. „Takie rzęsy to majątek!” – mawiano o niej potem. W 1933 roku Nineczka została uczennicą Szkoły Ćwiczeń. To, że trafiła do klasy B, oznaczało, iż była wybitnie zdolna, wiadomo było wówczas, że klasa B była dla najbardziej uzdolnionych.

Słyszcie – dzwonek na was woła
Ma w głosie radość rozśpiewaną
To ja was wołam, wasza szkoła
W to wasze pierwsze szkolne rano.
Chłopaki moje i dziewczęta,
Choć szara i wyglądam skromnie,
Lecz zawsze jestem uśmiechnięta
Więc chodźcie do mnie,
Chodźcie do mnie.

Ten wierszyk pani Nina umie na pamięć i chętnie recytuje.

W 1936 roku umarła babcia Seweryna, a za rok dziewięcioletnia Nineczka trafiła do Małego Żeńskiego Internatu Szkoły Ćwiczeń. W związku z trudną sytuacją majątkową zwolniono ją z opłaty. W każdym pokoju mieszkało pięć do sześciu dziewczyn. Na wezglowiu każdego łóżka mieściła

się metalowa tabliczka z nazwiskiem. Imiona uczennic 6-B Nineczka do dziś pamięta: Bola Bortniczek, Danka Derecka, Krysia Kiczyńska, Nina Noskówna, Wanda Węgrzynówna. Przełożoną internatu była pani Maria Sandecka. Nazywali ją Pchełka, bo poruszała się bardzo szybko i drobnymi kroczkami. Mieszkanki internatu panicznie bały się tzw. „karniaka”. W internacie obowiązywał bowiem ostry rygor i wzorowy porządek. Wszystko miało swoje miejsce. Porozrzucane rzeczy natychmiast były „aresztowane”, trafiały do pokoju przełożonej – „karniaka”, a w sobotę na zbiórce publicznie ogłaszano imiona ich właścicieli i wyznaczano kary – zależnie od ilości „aresztowanych” rzeczy. Karą zaś było sprzątanie np. schodów lub korytarza. Nineczka nie bała się pracy, lecz przerażała ją perspektywa nazwania jej niechlujną. Pilnowała porządku i żadna jej rzecz nigdy do „karniaka” nie trafiła. Do 4 klasy mieli jedną nauczycielkę. Była to Emilia Ederówna – stara panna, której krzywe nogi na wysokich, wykręconych do środka obcasach obrażały poczucie estetyki Nineczki. Z innych nauczycieli najbardziej zapamiętała Ludwika Gronowskiego – wykładał wychowanie fizyczne oraz geografii i matematykę. Był wysoki, wysportowany, ubrany w modne w tych czasach pumpy i beret, w zimie zawsze na nartach. Chwalił Nineczkę za dobre wyniki. Został w jej pamięci także nauczyciel muzyki Ośko – skrzypek. Na lekcji śpiewu podchodził do każdego ucznia i przygrywał mu, nasłuchując, czy dobrze śpiewa. Za „pierwszych sowietów” (1939-1941) ten sympatyczny muzyk powędrował na „długie wakacje” do Kazachstanu i zginął gdzieś po drodze.

Nineczka najbardziej przyjaźniła się z nieco starszymi od siebie – Cesią Chruszczówną i Rózią Marcinkowską. Razem biegały przez park licealny do stołówki, która mieściła się na pierwszej kondygnacji piwnic gmachu głównego Liceum.

Zabawnie było patrzeć na tę trójkę: gruba i niska Cesia ledwo nadążała za wysoką Rózią, której jeden krok równał się trzem kroczkom koleżanki. Jedzenie w stołówce szkolnej zawsze było dobre. Czasem Nineczka przez okno usytuowane na poziomie chodnika widziała nogi swego dziadka, spacerującego obok, by sprawdzić, czy jego pupilka nie była głodna. **ФОТОГРАФІЯ МАЛЕНЬКОЇ НІНИ З ПОДРУЖКОЮ**

Jak w każdym zamkniętym środowisku, w internacie faworyzowano ładne koleżanki. Rok starsza od Nineczki dziewczyna nazwiskiem Dejneka (imię, niestety, zatarto się w pamięci) poświęciła jej ten oto, pełny uwielbienia wierszyk:

Nino, jesteś piękna, jak wodna lilija
Co płatki swe cudne o świcie rozwija.
Swe cudne płatki aksamitne
I patrzy w niebo błękitne.
Cudne są twe usta nęcące
Twoje oczy błękitne [...]
Jesteś podobna do cudnego kwiatu,
Jesteś najpiękniejsza z internatu.

Ten dziecięcy wierszyk był jedynym poświęconym Ninie. Czasy się zmieniły, nastała proza życia, a uroda Nineczki nie znalazła kolejnego piewcy.

Mieszkające w internacie dzieci zawsze były otoczone troską wychowawców i pedagogów. Nie wolno im było wałęsać się po mieście, całe życie było skoncentrowane wokół uczelni. Każda prawie chwila była wypełniona. Podczas przerw między zajęciami dziećmi zajmowali się opiekunowie, przeważnie byli to starsi uczniowie pedagogicum. Inicjowali grę w „kółko”, „mam chusteczkę haftowaną” czy „wszystkie konie przepuszczamy, a jednego zatrzymamy”. Mimo tak dobrze zorganizowanego czasu, było też miejsce na psoty: Hanka Kiczyńska, nieco starsza

od Nineczki, o chłopięcej urodzie i stylu bycia, straszna rozrabiara, kiedyś tak popchnęła córkę dyrektora ćwiczeniówki, Stanisława Biedy, że ta, upadłszy na posadzkę przed salą Kółkającą, straciła przedni ząb. Po tym incydencie Nineczka, bojąc się o swoje zęby, starannie omijała waleczną Hankę. Całkowitym przeciwieństwem Hanki była jej siostra, piękna i delikatna Krzysia Kiczyńska. Wszyscy podziwiali jej urodę i nic nie wróżyło, że Krzysia po ukończeniu pedagogicum, będąc już nauczycielką na wsi koło Krzemieńca, w 1943 r. zginie w okrutny sposób. Los ten spotkał niejedną koleżankę Nineczki, w tym też nieco starszą Marysię Komko, której wyrwano oczy. Ale stało się to już w innej epoce, nadejścia której nikt wówczas się nie spodziewał.

Uczniów całego Liceum Krzemienieckiego wychowano w kulcie „Wielkiego Krzemieńczanina” Juliusza Słowackiego. Niezapomnianą dla pani Niny stała się premiera „Balladyny”, wystawiona przez starszych licealistów na łonie natury w Mackowej Dolinie.

Chętnie też wspomina Nina słynne „sobótki”. Co soboty każda klasa urządzała imprezy. Składały się z dwu części: Pierwsza – sprawozdanie klasy, druga – program artystyczny. Wszystko tu grało, śpiewało, tańczyło! Wydarzeniem stała się inscenizacja „Czerwonego Kapturka” z Alą Kotwicką w roli głównej. Zapamiętany został też Broniek Zalewski, arcymistrz popularnej wtedy wśród dzieci gry „Dwa ognie”, który spędził wakacje u krewnych we Włoszech, a po powrocie urzekł nauczycieli i kolegów śpiewaniem włoskich piosenek. Na prośbę nauczycieli, by przetłumaczył je na polski – odmówił, motywując, że tego się nie tłumaczy. Nineczka domyśliła się, że piosenki te były o miłości – temacie zakazanym dla dzieci. Nade wszystko Nineczka lubiła tańczyć. Tańca uczyła ją pani Barbara Kowalewska. Najbardziej uroczysty był

zawsze wieczór na gwiazdkę w Sali Kolumnowej. Pośrodku stała olbrzymia przystrojona choinka, a dookoła – odbywały się tańce, zabawy, loteria. Do dziewiątej wieczór bawiły się dzieci, a później dorośli. Kiedy powiedziano roztańczonej Nineczce, że przyszedł po nią dziadek, zapytała, gdzie na nią czeka i natychmiast ruszyła w przeciwną stronę, gubiąc się między tańczącymi, by choć trochę przedłużyć szczęśliwe chwile.

Rok 1939 stał się końcem epoki. Wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie – nauczanie w szkole rosyjskiej, początek wojny, wkroczenie wojsk niemieckich, „zmartwychwstanie Ukrainy”, łuny pogorzelisk, dramatyczne rozstanie z koleżankami Polkami. Tyle czasu minęło od tamtych wydarzeń, a pani Nina nie może powstrzymać łez, wspominając koleżankę z ćwiczeniówki Żydówkę Gitlę Gandel. Podczas okupacji niespodziewanie spotkały się w warsztacie przy ulicy Szerokiej, gdzie pracowali Żydzi, codziennie przyprowadzani tam z getta. Na prośbę Gitli Nineczka kupowała jej owoce i włoszczyznę, ponieważ Żydom nie wolno było chodzić na miejski targ. Umawiały się w warsztacie. Rzadkie spotkania nie wzbudzały podejrzeń, ponieważ dziadek Nineczki mieszkał wtedy obok warsztatu, a Nineczka wciąż jeszcze w internacie. Posługiwały się także „pocztą kamykową”. Owinięte kartką kamyki przerzucano z balkonu przy ulicy Szerokiej na balkon po stronie getta i z powrotem. Umówione w ten sposób dziewczyny spotykały się przy ogrodzeniu getta i Nineczka przez podkopaną pod ogrodzeniem szczelinę podsuwała koleżance warzywa lub butelkę mleka. Pewnego razu w warsztacie, Gitla zdjęła z nóg ładne czerwone sandały, potem dodała złoty zegarek i podając je ze spokojnym uśmiechem osłupiałej Nineczce, powiedziała: „Weź, proszę, nie będą mi potrzebne”. Nineczka energicznie odmówiła: „Coś ty! Przecież nie będziesz wracała

boso!" – Nie będą mi już potrzebne" – nalegała Gitla. Nic nie rozumiejąc, Nineczka stanowczo odmówiła przyjęcia niespodziewanego prezentu. A nazajutrz, chcąc odwiedzić dziadka, zobaczyła całe getto otoczone przez szucmanów. Słychać było pojedyncze strzały. Znajoma kobieta powiedziała: „Od samego rana wywożą ich i wywożą, a ci ich po głowach biją!" Razem wzgórzami pobiegły w okolice Kułydziwki. Tam rozstrzeliwano Żydów, wciąż dowożonych ciężarówkami. Szli jeden za drugim i pokornie kładli się na dno okopów z czasów pierwszej wojny światowej. Padały strzały. Z daleka nie sposób było postrzec w tłumie Gitli i jej rodzinę. Nie było ich tam zresztą. Jak się potem okazało, ściany i podłoga mieszkania rodziny Gandrów całe były zalane krwią. Nie wszyscy jednak pokornie poddali się wrogom.

Podczas okupacji niemieckiej Nineczka uczęszczała do Szkoły Gospodarczej prowadzonej przez panią Karawajewą. Szkoła mieściła się w budynku Białeckiej (obecnie przy zaułku Słowackiego). Nauczyła się tam prowadzenia domu, różnych robót ręcznych. O tej szkole mawiano, że kształcą tam służących dla Niemców. By jakoś utrzymać się, Nineczka pracowała w kiosku, sprzedając gazety, w tym wydawany w języku ukraińskim «Крем'янецький вісник». Stało się to powodem zatrzymania jej przez niemiecką policję. W ciągu dwóch tygodni Nineczkę więziono w siedzibie gestapo, ponieważ mieli coś do zarzucenia jej pracodawcom oraz Rózi Niedźwieckiej, dziewczynie, która sprzedawała gazety w sklepie tylko dla Niemców. Jak się okazało, brat owej Rózi, Mikołaj Niedźwiecki był jednym z przywódców banderowskich UPA-Południe.

W 1947 r. Nina wyszła za mąż za Michała Masłowskiego, przystojnego blondyna o niebieskich oczach. Było to małżeństwo zawarte z wielkiej miłości, co wcale nie oznaczało szczęśliwego

pożycia. Pochodził z bogatej niegdyś rodziny, która w wyniku wojny i zmian powojennych straciła cały majątek. Posiadali cztery domy (w jednym z nich Nina teraz mieszka), hektar ogrodu, który ciągnął się aż do cmentarza Bazylińskiego. W tym ogrodzie przed wojną prowadzili dancing pod francuską nazwą „Château de Fleur", była też oranżeria i kwaciarnia. Wszystko „przeminęło z wiatrem". Mąż pani Niny, muzyk, po cztery godziny dziennie grał na ganku, a z przeciwległej strony jego akordeonowi wtórowały skrzypce sąsiada. W nasyconym wonią floksów powietrzu rozbrzmiewały melodie Kreislera. Nina śmieje się, że jest od tamtego czasu uodporniona na muzykę.

ФОТОГРАФІЯ МОЛОДОЇ НІНИ ПАВЛІВНИ

Pani Masłowska po wojnie pracowała jako sekretarz w sądzie, potem była kasjerką w stołówce aktorskiej (po wojnie w Krzemieńcu jakiś czas istniał teatr wojewódzki). Aktorzy jak to aktorzy, starali się uniknąć opłaty i pani Nina, jak sama mówi, wyszła na tym „jak Zabłocki na mydle". Musiała zmienić zawód. Została wychowawczynią w przedszkolu, potem w domu dziecka, w żłobku. Wymagano dyplomu, więc pani Nina, będąc już matką dwojga dzieci, ukończyła szkołę pielęgniarek we Lwowie. Od tego czasu pracowała jako wychowawczyni przedszkola przez 32 lata. Obecnie ma dwoje dzieci, pięcioro wnuków, ośmioro prawnuków. Mimo poważnego wieku nieustannie pracuje, u siebie w domu musi czasami pełnić funkcje i murarza, i kominiarza. Zdaje się, że ten stary dom trzyma się wyłącznie dzięki jej determinacji, wielkiej pracowitości i optymizmowi. Całe życie Nina bohatercko walczy z trudnościami, których los jej nie szczędzi. Mimo to potrafi mieć dystans do otaczającej ją rzeczywistości. Potrafi też żyć wspomnieniami, pozostając w głębi duszy tamtą młodą dziewczyną, uczennicą ćwiczeniówki – Ninką Noskówną.



Bez tytułu

Kasia Bartsch-Cielebon

Ula przemyła twarz zimną wodą. Ocuciło ją to na chwilę. Walka trwała dalej. Żadne bohaterstwo. Po prostu walka o przetrwanie. Ona albo ostatni przerzut u jej mamy. Wczoraj lekarka w czasie domowej wizyty zapytała ją, kiedy ostatnio spała. Odpowiedziała jej, że nie pamięta. To nieprawda. Spała ostatnio jakieś pięć godzin. W ciągu ostatnich dwóch dni. Dziesięciominutowe zaśnięcia w przerwach kilkugodzinnych. Zauważyła ze zdumieniem, że są chwile, kiedy zawiesza się w wykonywanych czynnościach. Tak jakby zasypiała na kilka sekund. „Mózg broni się.

Jeszcze” – przekształciła w myślach komunikat o obronie Westerplatte. „Kiedyś skapituluję, ale jeszcze nie dzisiaj” – postanowiła. To starcie trwało już trzeci tydzień. Na początku wydawało się, że nie będzie źle. Mama mieszkała u nich już dłuższy czas. No, bo to ze wszystkim łatwiej. I uprać, ugotować, zadbać. A poza tym zawsze ktoś przy niej był. Kiedy zaczęły się wakacje, Ula wyprawiła z domu Młodego i męża na wieś. Żeby maluch nie patrzył i nie bał się. Bo niestety, było czego. Jakaś miłosierna ręka wymazała chorej pamięć i świadomość otaczającego ją świata. Została tylko nieustająca

walka z bólem. Najgorszym i najbardziej przebiegłym zawodnikiem w rozgrywce. Był wszędzie. W odleżynach, ścierpniętych dłoniach i stopach. Panoszył się po całym ciele, atakując, szarpiąc, nękając. Ula przygotowała miskę z letnią wodą i wzięła niewielki ręcznik. Upał tego lata był niesamowity. Weszła do pokoju, gdzie leżała mama.

– Ochłódzę cię trochę – powiedziała.

– No nareszcie, ile jeszcze mam czekać – odpowiedziała ze złością chora. Ula nawet już się przyzwyczaiła do ciągłych strofowań, oskarżeń, w tym o zamordowanie własnego syna (bo gdzie on teraz jest!?) i wiecznej złości. Z trudem jej to przyszło, ale zdała sobie sprawę, że umysł jej mamy jest w kiepskim stanie. Zaczęła obmywać obolałe ciało. Mycie, karmienie, lekarstwa, dawane nie wiadomo na co, plastry na odleżyny.

– Basen. Daj mi natychmiast

basen – zażądała chora. Ula powlokła się z powrotem do łazienki. „Nie dam rady. Już nie mogę”. Ocknęła się chwilę później uderzając głową o futrynę. Nie wcelowała w drzwi.

– Nie może ktoś pani pomóc?

– zapytała wczoraj lekarka. Co miała odpowiedzieć. Że pracują, że mają swoje problemy. Że co? Poza tym tak właściwie to nie chciała, aby ktoś widział jak jej mama rozsypuje się kawałek po kawałku. „Ty też się rozsypujesz”

– zaproponował umysł. Tak. Najpierw zastrajkowała wątroba. „Wątroba potrzebuje na regenerację pięć godzin ciągłego (podkreślam) ciągłego snu” – podsumował ją umysł. Potem sypała się reszta. „Mózg broni się jeszcze”. Walka trwała. Ból ostatnio pokonał plastry z morfiną. I Ula zaczęła się zastanawiać, jak można by było zorganizować czystą morfinę. „Opieka paliatywna” – przypomniał jej usłużnie mózg. „Chwilowo jedzenie” –



postawiła sobie cel. Pomogła mamie ulokować się na basenie i wyszła do kuchni. Lodówka ziała idealną pustką białych ścian. Szafki ziały pustkami swoich kolorów. Ula wzięła pudełko z łupanym grochem. „I co ja teraz zrobię? Przecież jej tego nie dam”. Już drugi tydzień nigdzie nie wychodziła. Nigdzie. Nawet po chleb. Ostatnie zakupy skończyły się tym, że znalazła nieprzytomną mamę pod drzwiami. Biedna doczołgała się chyba, bo nogi już dawno odmówiły jej posłuszeństwa. Ula ocuciła ją i dowlokła do łóżka. Potem próbowała ją wciągnąć. Wepchnąć. Wturlać. Nic nie dawało rady. Zaklinała ją, aby ta jej pomogła, aby się złapała czegoś, aby zrobiła cokolwiek. Obie wreszcie płakały nad przeszkodą, jaką było około 30 centymetrów wysokości łóżka. Ula usłyszała kroki na klatce schodowej. Wypadła gotowa żebrać o pomoc. Sąsiad.

– Sąsiedzie mój kochany, proszę, niech mi pan pomoże, moja mama...

– Ale ja nie wiem, czy będę umiał – sąsiad był zaskoczony ciągnięciem za rękaw i widokiem splotanej sąsiadki. Umiał. Dwie pary rąk położyły chorą na łóżku. Od tamtej chwili Ula już nigdzie nie wychodziła. I dlatego teraz z niedowierzaniem patrzyła na trzymany w ręce groch.

– Ulaaa – dobiegło ją z pokoju. Równocześnie ktoś zapukał do drzwi. Zaskoczona spojrzała tylko na chorą, czy aby wszystko w porządku. Pukanie ponowiło się. Poszła otworzyć. Żona sąsiada. „Sąsiadka”. Coś do niej zaczęła mówić. Ula patrzyła na jej usta próbując zrozumieć sens słów.

– Czy mogłaby pani powtórzyć?
– poprosiła po chwili – bo jakoś coś z moim myśleniem nie tak – wytłumaczyła najlepiej jak mogła.

– Przyniosłam pani trochę jedzenia – zaczęła wolno sąsiadka – takie tam, co mi przyszło do głowy. Mąż dopiero wczoraj powiedział, że pani mama jest obłożnie chora, a pani sama, to pomyślałam, że może pani trzeba zrobić jakieś zakupy...

Ula otworzyła usta ze zdziwienia.

– Jeżeliby coś trzeba było, to proszę mi dać znać. – Sąsiadka była lekko zdezorientowana – jeżeliby coś... później się rozliczymy – zaproponowała widząc, że Ula cofnęła się po pieniądze – proszę – podała jej reklamówkę z zakupami i szybko zeszła po schodach.

– Dziękuję – szepnęła Ula. Półprzutomna poszła z siatką do kuchni. Zaczęła wydymać produkty. Mleko. Chleb. Masło. Ser. Makaron. Jakiś słoik. Odwróciła go, aby zobaczyć etykietkę. „Sos słodko-kwaśny”. Zastygła. Ze zdziwieniem popatrzyła na okno. Po chodniku chodzili ludzie. Po ulicy jeździły samochody. Słońce prażyło. „Tam jest jakiś inny świat” – pomyślała – „zupełnie inny. Tam jest makaron i nawet sos słodko-kwaśny”. Postawiła słoik na stole. „Zupełnie inny świat”. Pokręciła głową zdumiona. Poszła do pokoju i zabrała niepotrzebny już basen.

Ula skapitulowała dwa tygodnie później. Niewyobrażalnym cudem i zrządzeniem losu udało jej się uprosić pielęgniarkę z opieki paliatywnej o przyjsście. Określała to mianem cudu, bo gdziekolwiek dzwoniła rezerwowali jej termin za pół roku, osiem miesięcy, a nawet za rok. Pani Joanna – potężny anioł o blond włosach załatwił morfinę. Chora zaczęła spać. Ula przespała upragnione pięć godzin, a nawet zdecydowanie więcej... Ale. Ale teraz, widząc śpiącą mamę. zdawała sobie sprawę, że jednak przegrała walkę. A może jednak wygrała. W ostatnią niedzielę lipca dotarła do kościoła. Uklękła i pochyliła głowę. „Boże, jeżeli już nic nie można dla niej więcej zrobić, to proszę... zabierz ją do siebie”. Dwie godziny później jej mama umarła.

KBC



Cierpienia młodego Chopina

Piotr Mysłakowski

Zanim Fryderyk Chopin opuścił Warszawę w końcu 1830 roku na resztę swego krótkiego życia, zdążył osiągnąć wiek męski, tj. 19-20 lat. Ukończył zamierzone studia ogólne i kompozytorskie, skomponował kilka wybitnych dzieł, dał entuzjastycznie przyjęte koncerty. Dojrzał zarówno fizycznie, jak i psychicznie. W tym wieku człowiek doznaje przełomu między dzieciństwem a dojrzałością – przełomu zarówno emocjonalnego, jak i hormonalnego; ta burza nastrojów i huśtawka emocji, to jednym słowem: słodko-kwaśno.

Jesteśmy w samym środku epoki romantyzmu: Mickiewicz ogłosił niedawno swoich Poezji tom pierwszy (1822), uważany za początek tej epoki w Polsce.

Romantycy – w przeciwieństwie do XVIII-wiecznych klasyków – skierowali uwagę na życie wewnętrzne człowieka – duchowość, uczucia, emocje, a również na odmienność i indywidualność jednostki ludzkiej. Dominacja uczucia nad rozumem była także wyrazem ich buntu przeciwko zastanej rzeczywistości i obowiązującym w niej normom społecznym. Metodą poznania świata stać się miało nie doświadczenie, ale sztuka. Typowy romantyczny bohater literacki to buntownik kierowany wielkimi namiętnościami, takimi jak miłość lub nienawiść. Bohater ten charakteryzuje się nieprzeciętnością, konfliktowością; samotnie buntuje się przeciw zastanym konwenansom społecznym lub walczy w obronie ojczyzny. Dla romantyka najważniejszym uczuciem jest miłość, przeważnie nieszczęśliwa i tragiczna, zawsze jednak wszechogarniająca i potężna. Nieodłącznym atrybutem miłości romantycznej była oczywiście jakaś Muza, osoba do której cierpiący artysta miał kierować swoje uczucia, myśli i przeżycia – zazwyczaj dramatyczne i tragiczne. Często taka wybrana muza nie wiedziała, że jest obiektem wewnętrznych rozterek artysty; w innych przypadkach nie zawsze odwzajemniała te uczucia.

Z drugiej strony, jak świat światem, młodzi ludzie zakochiwali się po prostu, bez żadnych modnych romantycznych ideałów w podtekście. Młody Fryderyk nie mógł ignorować ducha epoki. Jego wewnętrzna potrzeba zaadresowania coraz dynamiczniej rozwijającej się twórczości do konkretnej osoby zbiegła się z młodzieńczą fascynacją płcią przeciwną. Taką muzą stała się Konstancja Gładkowska, która weszła do historii jako pierwsza zadeklarowana miłość Fryderyka Chopina. Mówię „zadeklarowana“, bo przecież nie dysponujemy zapisem stanów duszy Chopina innych, niż te, które sam upublicznił, choćby dyskretnie, choćby tylko w listach do najbliższego przyjaciela – Tytusa Woyciechowskiego. Jest oczywiście jeszcze Maria Wodzińska, ale tam charakter znajomości nie miał cech fascynacji „muzą“.

Na tle tych dwóch obserwacji możemy rozpatrywać historię Konstancji Gładkowskiej i Fryderyka Chopina. Jak więc zaklasyfikować ich wzajemną relację? Ile było w niej jednostronnego poszukiwania romantycznej, niezbędnej dla artysty, muzy, a ile prawdziwego zakochania z każdej strony?

Odpowiedź nie jest łatwa i nigdy jej nie otrzymamy. Są autorzy, widzący w tej relacji tylko platoniczną, duchową fascynację, są inni, doszukujący się okazji do potajemnych schadzek w mieszkaniach kolegów, oczywiście w celach erotycznych. Są wreszcie tacy, którzy widząc w Konstancji głównie ową romantyczną muzę młodego artysty, szukają jednocześnie odpowiedzi, jak nasz 19-latek radził sobie z naturalnymi potrzebami, wynikającymi z popędu seksualnego (to samo dotyczy naturalnie także Konstancji). Ta kategoria rozważań wiąże się oczywiście z całą warstwą kulturową, wychowawczą i obyczajową i przekracza ramy tych słodko-kwaśnych refleksji.

Muza

Konstancja Salomea Gładkowska urodziła się 2 czerwca 1810 roku w Warszawie. Była córką Andrzeja i Salomei z domu Woelke; jej ojciec był murgrabią czyli zarządcą domu przy ul. Zakroczymskiej nr hipot. 1857 (wbrew dotychczasowej literaturze nie był on burgrabią Zamku Królewskiego). Dom, w którym urodziła się młodzięcza miłość Fryderyka Chopina, już nie istnieje. W XIX wieku był to pałac należący do Leonarda Maringe, bogatego kupca winnego, sędziego Trybunału Handlowego i jego żony, Katarzyny z Borettich. Maringe, przybysz z francuskiej Burgundii, trafił do Warszawy w czasie wojen napoleońskich. Ranny, znalazł schronienie w domu Józefa Borettiego, pochodzącego z włoskiej Lombardii, znanego budowniczego z czasów Stanisława Augusta, a następnie ożenił się z jego córką, Elżbietą Katarzyną. Po ślubie Maringe powierzył zarządzanie sporym domem-pałacem Andrzejowi Gładkowskiemu, był ojcem Konstancji, ukochanej Fryderyka. Ciekawostką jest, że matką chrzestną Konstancji była Konstancja z Cichockich Żwanowa, nieślubna córka króla Stanisława Augusta, po której mała Gładkowska otrzymała swe pierwsze imię. Dom Maringe'a był zapewne wynajmowany na mieszkania, bowiem pod tym właśnie adresem w 1827 r. mieszkał także niejaki Piotr Paciorkowski, żonaty z Joanną Czachowską, córką stryjecznego brata Justyny Chopinowej – matki Fryderyka. Nie miało to jednak chyba wpływu na naszą historię.

Chopin poznał Konstancję, gdy oboje mieli po dziewiętnaście lat, a więc w wieku biologicznie dojrzałym. Jego dojrzałość emocjonalna dopiero się rozwijała,

zaś dojrzałość twórcza, artystyczna, osiągnęła już niespodziewanie wysoki poziom. Kończył właśnie trzyletnie studia kompozycji w Szkole Głównej Muzyki, z ocenami typu „geniusz muzyczny“. Jego profesor, Józef Elsner, nie wystawił podobnej oceny żadnemu innemu ze swoich uczniów. Ona zaś była piękną, jasnowłosą dziewczyną, która właśnie objawiła wielki talent muzyczny w zakresie śpiewu operowego.

W kwietniu 1829 roku odbył się w warszawskim Konserwatorium koncert z udziałem uczniów tej szkoły oraz artystów miejscowej opery. Ponad stuosobowej orkiestrze towarzyszyły śpiewaczki: pani Mejerowa oraz dwie uczennice klasy śpiewu, prowadzonej w Konserwatorium przez profesora Carla Solivę, Konstancja Gładkowska i Anna Wołkow. Na koncercie tym Fryderyk przypuszczalnie po raz pierwszy ujrzał swój przyszły „ideał“. Olśniła go zarówno uroda dziewczyny, jak i jej nadzwyczajna muzykalność i warunki głosowe. Pod jej wrażeniem pozostawał przez sześć miesięcy, zanim poznał Konstancję osobiście.

Znamy te szczegóły ze szczerych wyznań Fryderyka, zawartych w listach do przyjaciela, Tytusa Woyciechowskiego. Tak pisze 3 października 1829: „ja już, może na moje nieszczęście, mam mój ideał, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem Adagio do mojego koncertu, który mi inspirował tego Walca dziś rano, co Ci posyłam“.

Wreszcie poznał Konstancję osobiście i od tej pory spędzał z nią wiele chwil, czy to w Konserwatorium, w Teatrze Narodowym, czy w resursie na koncertach. Być może były też spotkania „w cztery oczy“ – ale o tym dokumenty milczą. Cytowany list dowodzi niezbicie, że najpiękniejszą część Koncertu f-moll op. 21 – owo wspomniane Adagio, inaczej zwane Larghetto – skomponował Fryderyk w poruszającym porywie uczuć na cześć Konstancji (jeszcze wówczas znanej tylko na odległość!). Wrócimy jeszcze to tego tematu.

W lipcu 1830 roku Konstancja z powodzeniem zadebiutowała w głównej roli operowej na scenie Teatru Narodowego. Kolejne jej występy tylko jej sukces potwierdziły, umacniając Chopina w jego uwielbieniu. Tymczasem jednak zbliżał się



termin jego wyjazdu z kraju: miał udać się na Zachód, by tam rozwijać swoją karierę muzyczną. Fryderyk stanął wobec dylematu: jak pogodzić swoją karierę z myślą o opuszczeniu Konstancji? Opóźniał decyzję, zwlekał, szukał pretekstów... W końcu jednak wszyscy pogodzili się z myślą o jego wyjeździe – przyjaciele organizowali kolejne przyjęcia pożegnalne, sam Chopin dał 11 października 1830 r. na deskach Teatru Narodowego własny koncert na pożegnanie Warszawy. Obok innych artystów, wystąpiła dla niego także Konstancja Gładkowska, a dokładny opis koncertu i wrażenia z jej występu znajdujemy w kolejnym liście do Woyciechowskiego. Nie mamy wątpliwości, że Chopin był zachwycony...

O chwilach rozstania nie pozostały żadne przekazy, jednak pewne szczegóły mówią same za siebie: w Wiedniu Frycek koi smutek „spoglądając na pierścionek” – nie ma wątpliwości, że to od Konstancji. Ona zaś do śmierci mówiła, że także otrzymała od Fryderyka pierścionek, „który miał po jego babci”... Potwierdza to wnuk Konstancji, Stanisław Karpiński.

Pierwszy rok po wyjeździe Frycek spędza w Wiedniu, Monachium i Stuttgarcie – doskwiera mu samotność, oddalenie od bliskich i świadomość wybuchu i upadku powstania listopadowego. Ale oddalenie od ukochanej jest szczególnie ciężkie do zniesienia. Zapisuje w notesie „chce mi się śmierci [...]. Jej obraz stoi przed moimi oczami – zdaje mi się, że jej nie kocham, a przecież z głowy nie wychodzi”. W takich rozterkach upływa Chopinowi rok, zanim dotrze do Paryża.

Nie mamy śladów jakiegokolwiek korespondencji między Konstancją a Fryderykiem. Może w ogóle nie istniała? Może wyjazd Fryderyka uznała Konstancja za zamknięcie uroczego, lecz pozbawionego przyszłości, epizodu w jej życiu?

Na początku 1831 roku notujemy zamieszkanie Konstancji Gładkowskiej wraz z matką, w kamieniczce przy ulicy Nowomiejskiej 4; mieszkała tam zapewne także nieco wcześniej, a więc w czasie wyjazdu Fryderyka z Polski w początku listopada 1830 i na krótko przed ślubem z majątnym urzędnikiem z kupieckiej rodziny Józefem Grabowskim, który miał miejsce 31 stycznia 1832 r.

Wiadomość o tym Fryderyk przyjmuje spokojnie: pisze do przyjaciela „Panna Gładkowska poszła za Grabowskiego, ale to nie przeszkadza afektom platonicznym”. Tyle na zewnątrz, w duchu jednak długo musiał Fryderyk tłumić żal do tej, która tak szybko zapomniała. Typowy schemat, znany z „Prząśniczki” Moniuszki, z licznych pieśni ludowych czy żołnierskich: On musi wyjechać, Ona szybko znajduje innego...

Po ślubie Konstancja porzuciła pięknie zapowiadającą się karierę śpiewaczą i osiadła z mężem w jego majątku Raducz w piotrkowskim i tu stała się doskonałą

żoną i matką. Po kilkunastu latach, w roku 1845 spadło na nią nieszczęście: straciła wzrok i mimo wysiłków znanych okulistów musiała przeżyć w ciemności jeszcze 44 lata! Po śmierci męża w 1878 r. i stracie dwóch córek, przeniosła się do Skierniewic i tu zmarła w 1889 roku. Ostatnie lata spędziła, grając na fortepianie z pogodną duszą i powracając wspomnieniami do szczęśliwej młodości.

Oceniając z perspektywy czasu stopień uczuciowego zaangażowania Konstancji i Fryderyka, można postawić tezę, że miłość z jego strony nie budzi wątpliwości. Dał temu wyraz we wszystkich wzmiankach w listach i notatkach – a przede wszystkim skomponowaniem owego słynnego *Larghetto*. Mniejszą pewnoś można mieć w stosunku do Konstancji: niewątpliwie była oczarowana afektem młodego geniusza, może jej to imponowało, może jej się nawet fizycznie podobał, może żywiła do niego prawdziwie ciepłe uczucia – niekoniecznie jednak porównywalne z temperaturą wzniosłych uczuć Fryderyka. Zrozumiał to on sam już w Paryżu i chyba starał się wymazać z pamięci swoją dawną ukochaną. Dał tego dowód, dopisując słynne słówko „mogą” do pożegnalnego czterowiersza, skreślonego w sztambuchu Chopina ręką Konstancji:

Ażeby wieniec sławy w niezwiędły zamienić,
Rzucasz lubych przyjaciół i rodzinę drogą;
Mogą cię obcy lepiej nagrodzić, ocenić,
Lecz od nas kochać mocniej pewno Cię nie mogą

„Mogą” – dopisał później Fryderyk.

Warte odnotowania jest, że gdy w pięć/sześć lat później, w 1835 r. po raz pierwszy wydawał drukiem swój Koncert f-moll, z owym uczuciowym *Larghetto*, napisanym dla ukochanej Konstancji, zadedykował utwór – komu? – hrabinie Delfinie Potockiej, kobiecie, którą najwyraźniej pokochał podobnie gorącym uczuciem... Tym wszystkim, którzy widzą w Delfinie jedynie czarującą, ale platoniczną Muzę naszego artysty, dedykacja ta powinna dać do myślenia.

Kontrapunkt

Dla badacza psychologicznych stron osobowości Chopina na tle jego uczuć do Gładkowskiej niebagatelnym tematem jest historia znajomości Chopina z „Moriolką”. Tym familiarnym zdrobnieniem warszawskie otoczenie Chopina nazywało francuską

hrabiankę Aleksandrinę de Moriollles, córkę hrabiego de Moriollles, który był guwernerem nieślubnego syna Wielkiego Księcia Konstantego. Chopinowie znali się z Moriollami od chwili, gdy ów francuski hrabia z rodziną pojawił się w Warszawie, wraz z księciem Konstantym, czyli od ok. 1816 roku. Znajomość ta mogła mieć początek w zanotowanych przez pamiętnikarzy zaproszeniach, które były raczej „wezwaniami“ małego Chopina przed oblicze księcia, by i on mógł posłuchać gry geniusza, o którym wówczas głośno już było w Warszawie. Grał więc mały geniusz przed straszliwym księciem, jego kochanką, panią Józefiną Friedrichs, i – oczywiście – przed domownikami księcia. Wśród nich była rodzina hrabiego de Moriollles i panna Aleksandryna. Ta ostatnia wspomina po latach, że podziwiała małego geniusza, gdy ten miał lat siedem, a więc ok. roku 1817. Od tego czasu rodzi się ich przyjaźń, po latach zabarwiona szczyptą niewątpliwego erotyzmu. Jak bowiem ocenić fakt, że panna de Moriollles w roku 1829 i 1830 regularnie zapraszała 19-latkę na prywatne obiady i inne spotkania w cztery oczy? Że za parę lat jego siostra Ludwika będzie w listach strofować Frycka, że zapomniał o tej, która taką sympatią go darzyła! Czyżby nie zasługiwała na jego afekty? Dodajmy, że w Warszawie Frycek – niezależnie od wizyt u córki – bywał regularnie na spotkaniach u rodziców Moriolki!

Analiza chronologiczna pozwala twierdzić, że okres „bywania“ u Moriolki pokrywał się z okresem fascynacji Konstancją Gładkowską, a sygnały o charakterze znajomości z Moriolką, które sam Frycek wypuszczał w świat, były jednoznaczne: starał się stworzyć wrażenie, że to do hrabianki „smali cholewki“ (podczas gdy w tajemnicy wielbił Konstancję!). Jak wytłumaczyć tę sytuację? Można na dwa sposoby: albo 1° Frycek próbował w ten sposób wywołać w Konstancji odruch zazdrości i tym samym spowodować jej większe zainteresowanie swoją osobą, albo 2° grał na dwa fronty: w Konstancji lokował swoje uczucia romantycznego artysty, a w Moriolce widział po prostu kobietę. Nie jest bowiem wcale niemożliwe, że to właśnie ta o parę lat starsza od Frycka hrabianka, pędząca niezależny żywot kobiety nieskrępowanej zbyt wieloma konwenansami, wprowadziła Frycka w świat przeżyć męsko-damskich. I wcale taka dwoista sytuacja nie stałaby w sprzeczności ani z naturą ludzką, ani z romantycznym poszukiwaniem „ideału“...

Nie powinno to nikogo szokować. Pomijając przywary osobiste oraz ogólną niestałość rodu ludzkiego, szczególnie jego męskiej części, nie można zapominać, że Chopin był zawsze bardzo czuły i łasy na wdzięki niewieście. Świadczą o tym liczne wzmianki zarówno w jego listach – także tych młodzieńczych – jak i we wspomnieniach osób z jego otoczenia. Pomimo że nie był on typem fizycznie

niezbyt atrakcyjnym – drobny, chudy, z dużym nosem – miał w sobie ogromną siłę przyciągania. Sprawiał, że kobiety i mężczyźni w jego towarzystwie doskonale się czuli, a kobiety odczuwały do niego nieprzeparty pociąg. Czarował je głównie siłą swojej poetyckiej muzyki, niewysłowionym wdziękiem jej wykonania, aurą którą stwarzał, gdy w natchnieniu godzinami improwizował, najchętniej w półmroku, w małym gronie słuchaczy, których wprowadzał niemal w stan zbiorowej hipnozy, co w pewnym sensie przypomina stany zbiorowego oszołomienia dzisiejszych fanów i fanek idoli kultury pop.

Chopin był pod tym względem niepowtarzalny. Gdy więc kobiecie towarzystwo ubóstwiała go zbiorowo, wiele pań ubóstwiała go także indywidualnie – i mamy powody mniemać, że nie bez wzajemności... Jedynie ogólny zły stan zdrowia i wyniszczająca siły vitalne choroba ograniczały jego możliwości pod tym względem.

Czy więc obraz młodzieńczych zalotów i miłości (do Moriolki, do panny Blahetka w Wiedniu i do innych) stał w sprzeczności z udokumentowaną prawdziwą miłością do Konstancji? Moim zdaniem – niekoniecznie.

Konstancja Gładkowska była świetnie zapowiadającą się artystką operową – szkoda, że karierę tę przerwała... Dla nas jednak zapisała się w historii przede wszystkim jako adresatka i uczestniczka głębokiej, pierwszej miłości romantycznej dorastającego Chopina; pozostawione ślady pisane (głównie jego korespondencja z przyjaciółmi: Woyciechowskim i Matuszyńskim) dostarczają nam ciekawego materiału do rozważań biograficznych i psychologicznych, wzbogacają naszą wiedzę o głębi duszy kompozytora. Przede wszystkim jednak to dzięki uczuciu do Konstancji powstał nieprzemijającej piękności utwór – Larghetto z Koncertu f-moll op. 21 oraz piękny Walc Des-dur, op. 70 nr 3. Wszystko to sprawia, że jej właśnie należy się z naszej strony nieprzemijająca, wdzięczna pamięć.

PM





Taniec na słodko czy na kwaśno?

Agnieszka Kaczorowska



Na słodko:

- Jeśli tańczysz, to masz fantastyczne poczucie rytmu.
- Stajesz się wrażliwszy na dotyk.
- Zachowujesz idealną sylwetkę.
- Twoje ruchy są płynne i piękne, nawet w codziennym życiu.
- Zawodowi tancerze są świetnie zmobilizowani, zorganizowani, zmotywowani.
- Tancerz dąży do celu, aby osiągnąć wymarzony efekt.
- Umie słuchać swojego ciała oraz ciała drugiego człowieka.
- Nieobcy mu jest kontakt wzrokowy.
- Tańcząc, słyszy się inaczej muzykę - dokładniej i każdy dźwięk ma odzwierciedlenie w ruchu.
- Dla kobiet obcasy stają się gruntem naturalnym i poruszanie się w nich nie stanowi żadnego problemu.
- Mężczyźni potrafią delikatniej obchodzić się z płcią przeciwną, stwarzają jej przestrzeń i otaczają opieką.
- Taniec daje największe szczęście i spełnienie.

Na kwaśno:

- Nogami i stopami tancerza są wykończone, przemęczone, przeciążone.
- Całe ciało odczuwa ogromne zmęczenie, ponieważ w tańcu angażuje się każdy, nawet najmniejszy mięsień.
- Tańcząc z kimś kto nie potrafi, nie czujesz zadowolenia, nie sprawia ci to dużej przyjemności.
- Inni boją się z tobą tańczyć, onieśmiasz ich.
- Gdy zasmakujesz rodzaju dotyku połączonego z muzyką, takiego jak występuje podczas tańca, żaden inny nie będzie tak mocno wpływał na twoje stany emocjonalne.
- Zawodowi tancerze, jak tylko skończą z tańcem, szybko tracą idealną sylwetkę.
- Tancerz zaczyna oczekiwać takiego samego kontaktu wzrokowego w normalnym życiu, co często jest nieosiągalne.
- Muzyka wywołuje w nim niekontrolowaną chęć ruchu i wyrzucenia z siebie całej energii, a jeśli tego nie robi, odkłada się to w jego wnętrzu, dając negatywne skutki.
- Często jest tak zapatrzonego w swój cel, że stara się go osiągnąć "po trupach".
- W świecie tańca, im jesteś lepszy, tym bardziej stajesz się narażony na kłody, które inni rzucają Ci pod nogi.
- Taniec to nałóg i zaczyna się dla niego poświęcać inne sfery życiowe.
- W tańcu można się zatracić.





Spotkanie *na Półpiętrze*

Kasia Bożyk w rozmowie z **Renatą Śmietanką**,
psycholożką, absolwentką Szkoły Wyższej
Psychologii Społecznej w Warszawie,
współzałożycielką Pracowni Aktywnego
Działania „Półpiętro”, specjalizującą się
w pomocy psychologicznej dzieci i młodzieży,
m.in. w trudnościach w uczeniu się, radzeniu
sobie ze stresem, uzależnieniami.

Jest Pani współzałożycielką Pracowni Aktywnego Działania „Półpiętro”, proszę powiedzieć, w jakich okolicznościach powstało i czym się dokładnie zajmuje się stowarzyszenie?

Stowarzyszenie Pracowania Aktywnego Działania „Półpiętro”, które współtworzyłam i w którym działam powstało po ukończeniu przeze mnie stażu w MOP-ie. Był on inspiracją dla mnie i moich przyjaciół do tego, aby stworzyć organizację niosącą pomoc psychologiczną na rzecz młodych ludzi. Do tej pory „Półpiętro” zorganizowało i przeprowadziło wiele działań z zakresu szeroko pojętych umiejętności psychospołecznych, jak komunikacja, asertywność, radzenie sobie z emocjami, stresem dla wolontariuszy różnych innych organizacji pozarządowych. Dla mnie osobiście szczególnie ważne były zajęcia zorganizowane dla dzieci z kilku warszawskich szkół podstawowych z profilaktyki uzależnień. Działanie to wydaje się szczególnie ważne, jeśli weźmiemy pod uwagę rosnące statystyki spożywanego alkoholu przez uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych (badanie ESPAD z 2011 roku przeprowadzone przez PARPA).

Jak można wyjaśnić rosnące zjawisko sięgania przez młodzież po alkohol i inne używki psychoaktywne?

Wszyscy obserwujemy, że świat coraz szybciej pędzi, a my razem z nim. Mamy coraz mniej czasu na przebywanie z dziećmi, interesowanie się nimi, ich sprawami i problemami, rodziny coraz częściej się rozpadają, dzieciaki nie mają do kogo iść ze swoimi trudnościami, jeśli dołożyć do tego wpływ grupy rówieśniczej i naturalną w tym wieku potrzebę eksperymentowania, to odpowiedź nasuwa się sama. Sama młodzież wymienia takie powody sięgania po alkohol jak: chęć dobrej zabawy, ucieczka od problemów, odprężenie się. Niepokojące jest to, że młodzież dostrzega więcej pozytywnych skutków picia alkoholu niż negatywnych, co jeszcze bardziej zwiększa prawdopodobieństwo sięgania po używki.

Gdzie teraz Pani pracuje z dziećmi?

W kilku warszawskich przedszkolach, w prywatnej poradni i na oddziale psychiatrycznym dla młodzieży.

Jak wyglądają metody pracy z dziećmi?

Na etapie szkół są to działania związane z profilaktyką. Jeśli chodzi o dzieci i młodzież, które w rodzinach mają problem alkoholowy, to w zależności od wieku dziecka oferowana jest pomoc socjoterapeutyczna, grupowa, np. grupy AI-Ateen dla nastolatków. Ma to jednak sens wtedy, gdy nadużywający rodzic podjął swoją terapię oraz partner osoby

pijącej, tzw. współzależniony podjął również swoją terapię. Taka systemowa pomoc całej rodzinie daje największe efekty i jest jak najbardziej uzasadniona. Paradoksalnie taka sytuacja, gdy nastolatek jako jedyny z rodziny chce podjąć pracę terapeutyczną nad sobą może być dla niego gorszym rozwiązaniem, ponieważ terapia pozbawia go mechanizmów obronnych, które chronią jego psychikę. Dlatego pomoc w takiej sytuacji sprowadza się do grup świetlicowych, socjoterapeutycznych, a nie stricte terapeutycznych.

Czym jest współzależnienie?

No właśnie, zwykle partner osoby pijącej: mąż lub żona, która jest uwikłana w problemy pijącej połówki jest określana mianem współzależnionej. Nie oznacza to, że nadużywa alkoholu, chodzi tu o to, że przebywanie w długotrwałym związku z osobą pijącą negatywnie odbija się na jej życiu, na poczuciu własnej wartości, osoba taka zapomina o swoich potrzebach, nadmiernie i nieadekwatnie koncentruje się na pijącym partnerze kosztem dzieci.



Jaki wpływ na późniejsze życie i funkcjonowanie w dorosłym życiu tych dzieci mają takie problemy?

Wzrastanie w rodzinie, w której rodzic nadużywał alkoholu skutkuje tym, że dziecko uczy się żyć według zasady: „Nie czuj, nie mów, nie ufaj”, co oczywiście jest sposobem na poradzenie sobie z brakiem poczucia bezpieczeństwa i właściwej opieki. Jednak to, co w dzieciństwie służyło przetrwaniu, w dorosłym życiu staje się ciężarem, powodującym destrukcyjny dezadaptacyjny sposób myślenia i postrzegania siebie. Efektem wychowywania się w rodzinie dysfunkcyjnej i jednocześnie strategią na przetrwanie jest również przyjmowanie przez dzieci ról jak: bohater rodzinny, maskotka, kozioł ofiarny czy niewidzialne dziecko. Role te przyjmowane są przez dzieci nieświadomie, ale adekwatnie do wieku, temperamentu i predyspozycji osobowościowych. Z czasem role te utrwalają się i stają się w pewnym sensie tożsamością osoby dorosłej przynoszącą cierpienie.

Czy rodzice zdają sobie sprawę z destrukcyjnego wpływu na życie i przyszłość swoich dzieci?

Zwykle w rodzinie alkoholowej jest tak, że rodzic nadużywający alkohol jest skoncentrowany na zdobyciu i wypiciu alkoholu, a drugi rodzic nadmiernie skupia się na tym, aby spowodować zaprzestanie picia, zapominając o podstawowych potrzebach

dzieci. Więc biorąc to pod uwagę świadomość o takim destrukcyjnym wpływie na dzieci budzi się dopiero wówczas, gdy jeden czy drugi jak rodzic zdecyduje się na terapię.

Jak wielu dzieciom udaje się wyjść z tej trudnej sytuacji i rozpocząć normalne życie? Od jakich czynników to zależy?

Dopóki dziecko jest pod opieką rodzica, który pije, wyjście samemu z takiej sytuacji jest trudne, a drogą jest pomoc systemowa, natomiast w dorosłym życiu, gdy człowiek nie jest już zależny od rodziny, a odczuwa konsekwencje wzrastania w rodzinie alkoholowej ma możliwość podjąć terapię dla tzw. DDA bądź MDDA. Państwo polskie daje taką możliwość i jest naprawdę wiele miejsc, gdzie można znaleźć bezpłatną pomoc w tym zakresie.

Jak społeczeństwo postrzega typową rodzinę patologiczną i jak to się ma do rzeczywistości?

Chyba powoli zmienia się obraz tego jak postrzegamy rodzinę, w której jej członkowie nadużywają alkoholu czy stosują przemoc. Do niedawno uważaliśmy, że są to osoby słabo wykształcone, o niskich dochodach lub żadnych. Coraz częściej jednak życie pokazuje, że są to osoby dobrze wykształcone, na wysokich stanowiskach, z dobrymi dochodami i robiące dobre wrażenie. Dodam, że mianem rodziny patologicznej czyli dysfunkcyjnej określa się nie tylko takie, w których występuje przemoc i nadużywanie alkoholu, ale również zaburzone są relacje i komunikacja pomiędzy członkami rodziny.

Jak wygląda stosunek nauczycieli i wychowawców do tego problemu w szkołach?

Pedagodzy i psycholodzy w szkołach, we współpracy z wychowawcami, mają obowiązek interweniować, jeśli tylko zauważą, że z dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Odbywają się rozmowy z uczniem, a także z jego rodziną, mające na celu rozpoznanie przyczyn kłopotów ucznia i ewentualne ukierunkowanie rodziny do odpowiednich placówek specjalistycznych.

Czy młodzi szukają pomocy we własnym zakresie?

Tak. Podczas zajęć psychoedukacyjnych w szkołach w ramach działalności „Półpiętra” zdarzają się nam sytuacje, że podchodzą dzieciaki i szukają dla siebie jakichś wskazówek co mogą zrobić, gdzie się udać ze swoimi kłopotami, zdarza się również, że młodzież

sama zgłasza się do szpitala, w którym pracuję, bo kompletnie nie widzi możliwości poradzenia sobie.

Jak rodzice reagują na pomoc udzielaną własnym dzieciom?

Jeśli chodzi o rodziny dysfunkcyjne, to najczęściej jest tak, że rodzice zajęci swoimi problemami nie dostrzegają dzieci i ich problemów, więc często nie uświadamiają sobie potrzeby szukania pomocy dla dziecka i reagują albo obojętnością, albo zdziwieniem lub zaprzeczeniem. Ale abstrahując od problemów wynikających z faktu nadużywania alkoholu przez rodzica, często rodzice doświadczający trudności wychowawczych zgłaszają się do poradni, upatrując przyczyny kłopotów z dzieckiem w samym dziecku. Jednak ja – jako psychoterapeuta systemowy – przyczynę problemów widzę nie tyle w konkretnej osobie z rodziny, lecz w całym systemie rodzinnym, w którym dziecko zwykle jest „nośnikiem” objawu np. nie chce się uczyć, wagaruje, jest agresywny, lub wycofany czy lękowy. Dlatego też w takiej sytuacji do terapii zapraszamy całą rodzinę, aby razem przyjrzeć się co rodzina takiego robi, że jedno z dzieci nieświadomie decyduje się być tym, który bierze na siebie odpowiedzialność za utrzymanie rodziny w całości, trzeba bowiem wiedzieć, że zwykle tam, gdzie jest jakiś problem trudniej o rozpad rodziny, która jest skoncentrowana na pomocy dziecku, a to z kolei oddala szansę na to, że rodzina ulegnie rozpadowi.

Czy efekty terapii są trwałe?

Na pewno terapia daje szansę na odbudowę poczucia własnej wartości, uwolnienia się od poczucia winy za doznaną krzywdę emocjonalną, nabycie umiejętności społecznych i wzięcie odpowiedzialności za własne życie. Często bowiem pułapką dla DDA jest tkwienie w poczuciu, że rodzic jest odpowiedzialny za moje kłopoty, co jest oczywiście prawdą, ale tylko do pewnego stopnia, w dorosłym życiu bowiem sami podejmujemy decyzje czy chcemy obwiniać rodziców, los, Boga etc. czy też właśnie decydujemy się zmierzyć ze swoimi „demonami przeszłości”.

Dziękuję za rozmowę.



NA ZDROWIE

SMAKI

SŁODKO-KWAŚNE



MUS OWOCOWY *na wieczorny głód*

100 g jabłek
50 g truskawek i czarnej porzeczki / lub inne
owoce
Zachować proporcje jw.

Owoce wrzucić do rondelka i dusić do 10
minut (owoce mają puścić sok).
Następnie zmixować. Podawać na ciepło.

POWIDŁA I DŻEM *z naturalną słodyczą*

Suszone morele lub śliwki zalać wodą
i zostawić na kilka godzin, najlepiej na noc.
Odać wodę i zmixować. Pyszne co nieco
do bułeczki, naleśników, ciast.
Do spożycia do trzech dni.



SMALEC - *pasta wegetariańska*

100 g cebula
50 g jabłko
2 ząbki czosnku
20 g masła
natka pietruszki, sól ziołowa,
majeranek, zioła np. prowansalskie

Jabłko i cebule pokroić w paseczki
wrzucić na patelnię na 5 minut.
Następnie zmiksować na jednolitą
masę dodając przyprawy.



ZAKWAS BURACZANY

1 kg buraków
2 l przegotowanej letniej wody
3 ząbki czosnku
skórka chleba razowego
ciemny cukier lub miód – szczypta

Do ceramicznego naczynia włożyć składniki
i zalać wodą. Odstawić pod przykryciem
w temperaturze pokojowej na dwa dni. Po
dwóch dniach wyjąć chleb i zebrać powstały
kożuch – pleśń. Pozostawić na kolejne 2 dni.
Następnie zlać zakwas. W lodówce
przechowywać do 1 m-ca.
Rozcieńczać 2/1 z wodą. Przyprawić do smaku
zielem angielskim, kminkiem, majerankiem,
liściem laurowym.



FINAŁ



KONKURS LITERACKI – „Smaki życia: słodko-kwaśny” 2013

Nagroda główna Anna Błachucka „Mikrofalówka” (Biblioteka Publiczna w Małogoszczu)

Wyróżnienie Zbyszek Strugała „Słodko kwaśna droga przez życie” (Miłosławskie Centrum Kultury – Biblioteka publiczna w Czeszewie)

Wyróżnienie Patrycja Kaczkowska „Skomplikowane życie” (Biblioteka Publiczna w Jabłonicy Polskiej)

Wyróżnienie Regina Nowak „Życie to nie teatr” (Filia biblioteczna w Napiwodzie)

KONKURS FOTOGRAFICZNY „Smaki życia: słodko-kwaśny” 2013

Nagroda główna Małgorzata Kaczkowska „Tajemnice żywota zamknięte w prostym kadrze”; (foto 1, 2, 6, 8, 9)

Wyróżnienie Andrzej Prajsnar „Słodko-kwaśna feeria barw polskiej przyrody” (Biblioteka Publiczna w Jabłonicy Polskiej); (foto 3, 4, 5, 7, 10)

BIBLIOTEKI

Biblioteka Publiczna w Jabłonicy Polskiej

Biblioteka Publiczna w Małogoszczu

Biblioteka publiczna w Czeszewie

Filia biblioteczna w Napiwodzie



GRATULUJEMY

OPOWIADANIE słodko-kwaśne NAGRODA GŁÓWNA

Anna Błachucka

Mikrofalówka

Dwa lata szukałem zatrudnienia w swoim wyuczonym zawodzie. Dwa lata nerwicy i stanów lękowych. Moje studia na psychologii były fantastycznie piękne, ale okazały się – bardzo niepraktyczne. W zakładach pracy zatrudniają psychologów na umowę o dzieło, ale trzeba spełniać warunek; mieć doświadczenie. Doświadczenia zdobyć nie mogę, bo nie ma miejsc pracy dla psychologów. Fora internetowe zarzucane są problemami ludzi mi podobnych, więc oszczędzę tutaj opisu moich.

Pracę uzyskałem dzięki koledze, który podpowiedział mi ją twierdząc, że rezygnuje z zatrudnienia, bo ma za małą wiedzę o człowieku.

– W sam raz dla ciebie. Jesteś po psychologii. Ja wolę iść na budowę, nie nadaję się do tego. Polecę cię szefowi, jak się wykażesz, to nieźle zarobisz.

– Na czym polegałaby moja praca?

– Idź w poniedziałek na rozmowę, bo ja mimo woli mógłbym cię zniechęcić.

Niespokojnie oczekiwałem poniedziałku. Odgrzebałem znane mi sposoby prezentowania swojego wykształcenia i zalet umysłu. Ułożyłem sobie kilka korzystnych wariantów odpowiedzi na domniemane pytania. Przerzucałem w skołowanej głowie stawki pieniężne, jakie wypadałoby za zaproponowaną pracę zażądać...

Matka pojechała w sobotę ze mną do sklepu i zakupiła mi nową odzież. Zrobiła to z pieniędzy odłożonych na czarną godzinę. To mnie bardzo przygnębiło. Patrzyłem na swoje odbicie w lustrze. Ujrzałem niezdarną postać. Włosy postawione na żel przez fryzjera nie pasowały do niepewności oczu i smutku ust. Ręce za długie, klatka piersiowa – zapadnięta. Za to brzuszek! – dopiero teraz zauważyłem, że ma wyraźną ochotę wypełnić pojemność koszuli. Dwa lata bezczynności zrobiły swoje. Jakby na potwierdzenie moich spostrzeżeń usłyszałem delikatną uwagę mamy:

– Nie garb się.

W poniedziałek zebrałem się w sobie i pojechałem na spotkanie. Rozmowa z pracodawcą była konkretna. Duża firma handlująca sprzętem elektrycznym na użytek domowy i drobnych warsztatów usługowych. Bardzo dobrze rozwinięta sprzedaż ratalna i internetowa. Chodzi o ściąganie należności ratalnych od nieuczciwych nabywców. Maksymalnie trzy wizyty pracownika firmy u takiego klienta mają go nakłonić do wpłacenia zaległości, albo do zwrotu sprzętu. Żadnego naciskania, od tego są sądy i policja. Łagodna perswazja i rzeczowa argumentacja. Warunki płacowe bardzo korzystne, do tego samochód firmowy, komórka i niezła oferta socjalna.

– Do tej pracy potrzeba psychologa, klienta trzeba rozpracować i odpowiednio zareagować. Trzeba wiedzieć, co i kiedy należy powiedzieć. Oczywiście wszystkie czynności postępowania muszą być zgodne z prawem i umową podpisaną osobiście przez dokonującego zakupu. Niewątpliwie zależy nam na spłaceniu długu, ale gdy zajdzie konieczność, to trzeba sprzęt odzyskać. Do takiej czynności może pan uzyskać wsparcie ochrony firmowej. Proponuję miesięczny okres próbny. Jutro dostanie pan adresy naszych dłużników i pojedzie pan do pierwszego z listy z naszym pracownikiem. Ma pan pytania?

– Mam. Kiedy podpiszemy umowę o pracę?

– Za parę minut, jeżeli pan tak zdecyduje.

– A wynagrodzenie?

– Na początek minimalna płaca plus premia za odzyskane zaległości od dłużników równa 8% tejże kwoty. W przypadku zwrotu sprzętu, szacujemy jego wartość i na podobnych zasadach nagradzamy. Ma pan również prawo pierwokupu tak odzyskanego produktu. Proszę przejść do kadr, tam dostanie pan umowę do przeczytania, jak również odbędzie pan szczegółową rozmowę z naszą przeuroczą panią – specjalistką od zasobów ludzkich – która z wykształcenia jest też psychologiem.

Pani Monika była kompetentną osobą na tym stanowisku. Rozmowa z nią była dla mnie przyjemnością. Wskazywała zalety, ale i nie omijała wad tej pracy; nienormowany czas pracy,

dojazdy do klientów, skomplikowanie oporna „materia” dłużników. Za jej pośrednictwem stałem się pracownikiem firmy już nazajutrz. Mama promieniała.

Pierwszy miesiąc upłynął szybko i przyniósł mi pierwsze pieniądze. Radziłem sobie nieźle. Prawie każde spotkanie miało coś z rozgrywki, było mierzaniem sił i wytrzymałości, było jak przeciąganie liny, albo pojedynki. Uczyłem się rozszyfrowywania cech charakteru partnera poprzez rozmowę i obserwację warunków jego egzystencji. Czasami wystarczało tylko „aktorskie” przeczytanie umowy, żeby się porozumieć. Innym trzeba było tłumaczyć dłużej konsekwencje własnego podpisu, jeszcze innym wyjaśnić to, co napisane było drobnym maczkiem na dole umowy. Kobiety wystarczało troszeczkę nastraszyć – leciutki szantażyk skutkował. Brały wtedy następną pożyczkę, by oddać poprzedni dług. Staruszkowie zakupywali tyle rzeczy „na wypłat”, że później tego nie obejmowali finansowo. Trzeba było podpowiedzieć rozwiązanie, pomóc w napisaniu podania, wskazać instytucje pomagające rodzinie. Było kilku spryciarzy, z tymi to nawet lubiłem się mierzyć. Trafił mi się również jeden fałszerz. Do tego przypadku wezwałem policję. W ciągu miesiąca zdobyłem dla firmy niezłą kasę. Otrzymałem należną zapłatę i umowę na rok.

Po roku dostałem umowę na następny. Warunki pracy jednak pogarszały się. Trudni klienci trafiali mi się coraz częściej. Z niepokojem obserwowałem wzrastający poziom bezrobocia w naszym regionie, coraz więcej amatorów systemu ratalnego nie mogło sprostać warunkom umowy. Rozmowy były coraz trudniejsze, wyegzekwowanie należności graniczyło z cudem. Niewiele pomagały wiadomości z uczelni i nabyta praktyka.

Pewnego dnia wybrałem się do maleńkiej wsi w sprawie mikrofalówki. Nie wpłynęły trzy kolejne raty za zakup.

Znajduję z trudem posesję nabywcy. Numer przywiązany drutem na siatce ogrodzeniowej zgadza się z napisanym w dokumentach. Na ogromnej, byle jak ogrodzonej działce stoi długi budynek na podstawie prostokąta. Podwórko

wygląda tak, jakby przed chwilą rozbiła się tutaj Arka Noego. Stosy różnorakiego drewna, niezdarne stogi siana, kupy rupieci i zwały obornika. Wśród tego bałaganu dostrzegam głowy gęsi, kur, kaczek... Pies na łańcuchu jazgocze tak, że własnych myśli nie słyszę. Szczeniaki „tańczą” wokół, próbując złapać mnie za nogawkę od spodni. Ledwie się opędzam. Szukam wzrokiem człowieka. Dostrzegam w ciągu budowlanym okno, a w nim firaneczkę. Tam też się kieruję. Pukam. Otwiera mi kobieta w wieku nieokreślonym, tak zaniedbana, że trudno to opisać. Pytam o nazwisko.

- Nie, taka tutaj nie mieszka.
- Czy pani użytkuje mikrofalówkę?
- A co to takiego?
- Przepraszam, widocznie się pomyliłem.

Wycofałem się do furtki tym razem goniony przez syczące gęsi. Szczeniaki na moje szczęście weszły do mieszkania. W pracy sprawdziłem na nowo dokumenty, nazwę miejscowości i kod. Wszystko się zgadzało. Trzeba jechać jeszcze raz. Kwota niewielka do zapłacenia, ale trzeba ją odzyskać dla zasady.

Za kilka dni pokonuję tę samą trasę. Widok podwórka zmienił się na gorsze. Opadłe liście z drzew odłoniły nowe pomysły gospodarzy na składanie różności. Niezaradność tej rodziny widoczna jest na każdym kroku. Lekki listopadowy mróz ściął liczne kałuże na podwórku. Na jednym z takich „lodowisk” ślizga się dwójka dzieci. Przedzieram się przez podwórkowy rozgwar. Wtem jak spod ziemi wyrasta przede mną mężczyzna. Ubiór wskazuje, że naprawia jakąś maszynę. W brudną szmatę wyciera ręce.

- Czego?
- Jestem pracownikiem firmy handlowej. Proszę, to moja legitymacja. Państwo nabyli mikrofalówkę. Chciałbym...

Nie dokończyłem zdania, bo mężczyzna z całej siły tupie nogą w lód na kałuży obok mnie i z pęknięcia wydostaje łom. Najwyraźniej wiedział, że się tam znajdował. Patrzy na mnie i kręci tym łomem jak góral laską. Jestem zaniepokojony, mało – wystraszony! Opuszczam posesję bardzo

zdenerwowany i natychmiast postanawiam wrócić tutaj trzeci raz z ochroną.

Wystosowałem odpowiednie pismo listem poleconym i w asyście ochroniarza wybrałem się jeszcze raz.

Dochodzimy do drzwi. Na pukanie nikt nie odpowiada. Naciskam klamkę. Zamek ustępuje. Wchodzimy. W pomieszczeniu czwórka małych dzieci bawi się ze szczeniakami. Na nasz widok pieski zaczynają szczekać. Stoję w otwartych drzwiach i krzyczę:

- Gdzie są wasi rodzice ?
- Nie ma, poszli do lasu – odpowiada najstarsza dziewczynka.
- Mikrofalówki też nie ma – dopowiada mniejszy chłopczyk

Wycofujemy się. Jesteśmy zdenerwowani. Zlekceważyli nas. Wszystko zaplanowali. W samochodzie zastanawiamy się, co robić dalej. Decydujemy się poczekać na dorosłych. Samochód ukrywamy za zakrętem. Po dwóch godzinach widzimy zbliżającą się kobietę. Nie jestem pewien, czy to ta sama, z którą spotkałem się poprzednio. Niesie siatkę z zakupami. Na nasze szczęście znika za drzwiami mieszkania. Za kilka minut idziemy za nią. Pukamy i otwieramy po chwili, choć nie usłyszeliśmy zaproszenia. Nasze oczy widzą jedną izbę, w której są prawie same łóżka. Mieszkanie zimne i wilgotne. W kątach szare naloty pleśni. Na małym stoliku stoi mikrofalówka. W niej podgrzewają się parówki. Czwórka dzieci wpatruje się w okienko mikrofalówki – niczym w arenę cyrkową. Parówki rozsadzają skórki, co owocuje śmiechem i uwagami:

- Patrz, jak ją wykręciło, ta będzie moja.
 - Ta obok – to aż podskoczyła do góry – jak żywa.
 - Ale się ruszają, jak węże...
- Przedstawiam się i rozpoczynam proceduralne czynności. Zaskoczona kobieta krzyczy na dzieci:
- Miałyscie pilnować samochodu, aż odjedzie.
 - Pilnowaliśmy...
 - Jaką decyzję pani podejmuje?
 - Nie mam pieniędzy, jedzenie biorę na kredyt, nie zapłacę.

- To zabieramy sprzęt. Zgodziła się pani na takie warunki. Dokumenty mam gotowe.
- Mama, Maciek się wygadał, że mamy mikrofalówkę
- skarży małą dziewczynka.

Kolega ponagla:

- Zabieraj sprzęt.

Kobieta bezradnie kręci się po kuchni. Podaję jej swój długopis, wskazuję miejsce do podpisania. Potem wyszarpuję kabel z gniazdka, wykładam kielbaski na stół i zabieram sprzęt do samochodu. Goni nas żałosne zawrodoenie jednego z dzieci:

- Zabrali naszą mikrofalówkę, zabrali nam mikrofalówkę.

Jedziemy do siedziby firmy bez słowa. Zanoszę rzecz do magazynu. Brud i tłuszcz aż kapie z drzwiczek i ścianek. Na bocznej ścianie odczytuję napis: „nasa mikrofalufka”. Biorę z kosza czyściwo i próbuję wytrzeć urządzenie. Nadaremnie. Moje ubranie również jest zaplamione tłuszczem.

W głowie kołaczą mi się słowa szefa: „wszystko zgodnie z prawem i umową”.

- Tak jest szefie! Wszystko było zgodnie z prawem.

Po miesiącu, na piątej z kolei wizycie, zabrałem zniedołężniałej staruszce kuchenkę elektryczną. W dużym domu było bardzo biednie. Klientka mieszkała w suterenie. Kuchnia służyła jej do gotowania i ogrzewania. Coś ścisnęło mnie za gardło, siły mnie opuściły i czułem się źle. Wykonywaliśmy z kolegą konieczne czynności w milczeniu. Zauważyłem, że chłopakowi z ochrony trzęsły się ręce.

- Skoro panowie muszą, to proszę bardzo. Dobrze, że chociaż w święta miałam wygodę – mówiła i płakała łzami jak groch.

Za jakiś czas odzyskałem dla firmy pilarkę. Odwiedzając kolegę w szpitalu, poznałem byłego właściciela sprzętu po długiej drodze i potężnych dłoniach. Naprawił sam starą. Stan jej był taki, że zabezpieczenia i blokady nie działały. Skaleczył się poważnie w nogę. Nasze spojrzenia spotkały się. Nie czułem się winny, a jednak to ja pierwszy spuściłem wzrok, i to on pierwszy się odezwał:

- Ja do pana żalu nie mam. Taką ma pan pracę.

Wieczorem w moim pokoju ustawiły się w szeregu: maszyna do szycia, frezarka, lodówka... Widziałem je dokładnie przez opuszczone powieki, które dociskałem aż do bólu.

Rankiem składałem rezygnację.

- Ja się do tej pracy nie nadaję – tłumaczyłem szefowi.

– Nie rozumiem, takie bezrobocie! Coraz więcej ludzi sięga po zakup ratalny, mamy coraz więcej klientów! Przecież panu bardzo dobrze idzie. Na zarobki chyba pan nie narzeka. No, ale to wolny kraj, ma pan prawo zrezygnować. Obowiązuje pana miesięczny okres wypowiedzenia. Jeśli pan zmieni zdanie, ja chętnie wrócę do rozmowy.

To był bardzo trudny miesiąc, pełen wątpliwości i rozterek. Mój umysł wypełniały same sprzeczności. W ostatnim dniu pracy za 100 zł odkupiłem mikrofalówkę, wymyłem ją i zawiozłem pod znajomy adres. Nie wchodziłem do mieszkania. Przełożyłem przez płot i czekałem z godziną na bieg wydarzeń ukryty obok w świerkowej krzewinie. Zmarłem. Już miałem odejść, gdy z mieszkania wyszła znana mi kobieta z chłopcem. Wrzucała do kosza drewno, a chłopiec karmiąc psa, zauważył na czarnej ziemi biały kształt.

- Mama, nasza mikrofalówka! – Poznaję. To ja ją podpisałem. Zobacz, tu z boku!

– Cud, czy co?

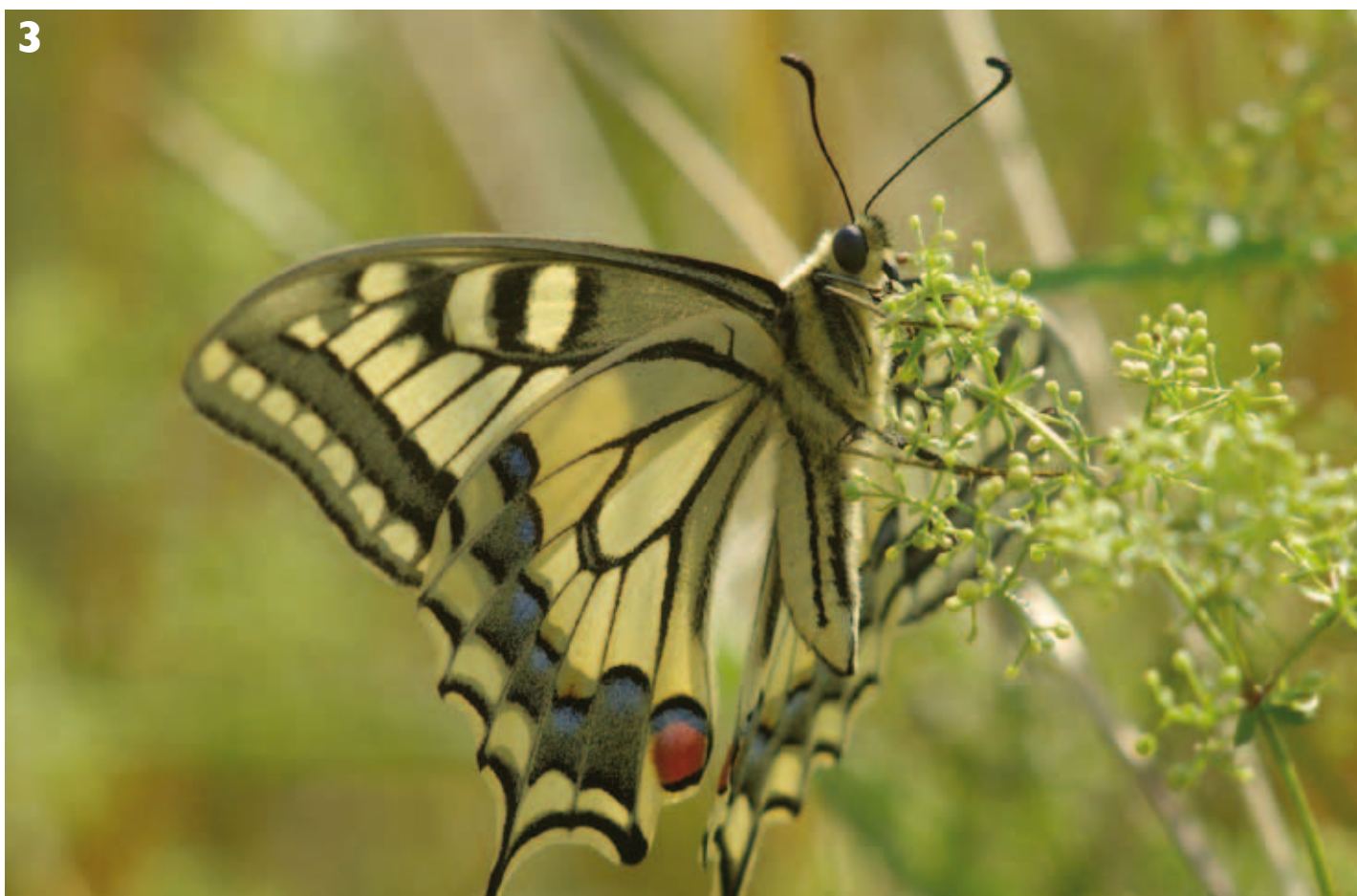
- Pewnie Święty Mikołaj ją odnalazł i odebrał niedobrym panom – krzyczał mały. – Ja go o to prosiłem. Zrobimy hot-dogi?

- Dziecko, to marzec. Święty Mikołaj już dawno odjechał.

Kobieta rozglądała się z wyraźnym lękiem po podwórku. Na szczęście nie dostrzegła mnie w mojej ostatniej godzinie pracy.

**2007
AB**

FOTO słodko-kwaśne NAGRODA.GŁÓWNA i WYROZNIENIE



4



5



6



7



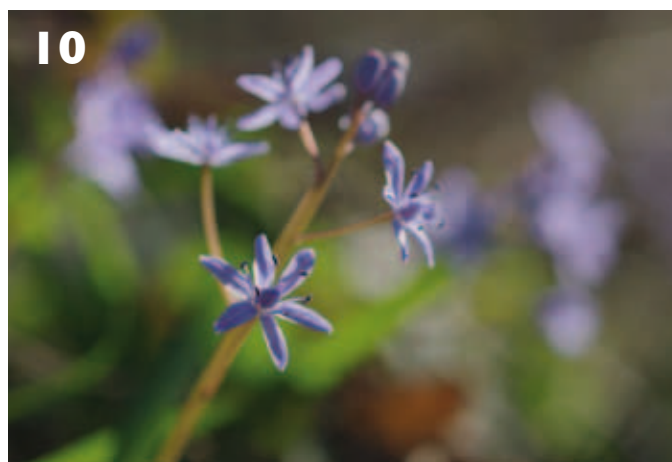
8



9



10





Kolory w modzie słodko-kwaśny

Klaudia Ofiara

Co sezon wchodzi w świat mody nowe trendy, modne fasony, ale także kolory, które są nieodzownym elementem zmian. Inne barwy preferujemy także na różne pory roku. Weselsze kolory na lato, a zdecydowanie spokojniejsze na zimę. Bardzo często można spotkać się także z mieszaniem odcieni, ich kontrastowym bądź przystającym zestawieniem. Niektóre kolory przypisujemy kobietom a inne mężczyznom. Pora przyrzeć się jaką rolę odgrywa paleta kolorystyczna dla mody.

Zacznijmy od klasyki. Czarny i biały, a także wszystkie ich pochodne kolory od odcieni szarości i beżu uważane są za ponadczasowe i zawsze modne. Mimo iż połączenie to jest postrzegane za kanon mody, to poza klasycznymi figurami, jak czarna spódnica czy spodnie w zestawieniu z białą koszulą, jest to kontrastowe zestawienie dwóch mocno dominujących barw, które noszone w modzie codziennej wymagają pewności siebie. Ostatnie trendy modowe wyraźnie to sygnalizowały, gdyż zestawy ubrań, a także dodatki i biżuteria nie mogły obejść się bez czarno białych pasów. Poza tym, liczy się także krój w danym kolorze. Jeśli zwiążemy ze sobą białą zwiewną, lekką sukienkę i skórzaną czarną ramoneskę będzie to przeciwstawne zestawienie zarówno barwne jak i stylistyczne, dzięki czemu uzyskamy efekt łamania stereotypów i połączymy ze sobą dwa światy, tworząc słodko-kwaśne zestawienie. Bardzo dużą wagę przy klasycznych barwach będą miały kolory dodatków, które dołączymy: z czerwonym uzyskamy z pewnością zestawienie odważne i o wiele bardziej rzucające się w oczy niż jeśli dobierzemy coś w odcieniu szarości co nie wzbudzi już takiej uwagi. Rola koloru jest więc olbrzymia.



Szał na kolor w strojach rozpoczął się na przełomie lat 60., kiedy to mocno rozwinął się przemysł, a elastyczne i kolorowe tkaniny weszły w obieg. Zaczęło się od odważnych połączeń mocnych kolorów jak pomarańczowy czy fioletowy w formie krótkich spódniczek czy spodni w zestawieniu z czarnymi rajstopami. Następnie w latach mody na disco zaczęły panować neonowe kolory, które w obecnych czasach przeżywają drugą młodość i cieszą się niesamowitą popularnością. Powstawały także błyszczące tkaniny, które miały się wyraźnie mienić w światłach dyskotekowych. W dzisiejszych czasach co roku inne kolory wiodą prym i zaświadczać o swojej sile. Jeśli mamy sezon na neony, to każdą część garderoby możemy odnaleźć w rażących barwach. Również w makijażu panuje wtedy ten trend, na przykład neonowe kreski na powiekach w kolorze niebieskim lub zielonym, albo odblaskowo różowe czy pomarańczowe usta. Natomiast kiedy w modzie zapanował szzał na wszelkie odcienie niebieskiego, gdzie szczególną popularnością cieszył się odcień kobaltowy, również w każdym elemencie można było go odnaleźć, od spodni czy koszulek po kolor tuszu do rzęs. Moda więc naprawdę mocno inspiruje się kolorem.

Czy w takim razie można mówić o kolorach kobiecych i męskich? Zazwyczaj już od dziecka przypisywane są kolory: niebieski dla chłopców i różowy dla dziewczynek. W obecnych jednak czasach nie można już bezpośrednio przypisać kolorów tylko jednej płci, ponieważ granica ta uległa zatarciu. Wciąż to częściej zobaczymy kobietę w niebieskich odcieniach niż mężczyznę w różowych, ale coraz widoczniejsze stało się zatracanie tej linii, gdyż różowe koszulki i koszule na męskich działach nie są już niczym nowym. Świadczy to oczywiście o tym jak bardzo znaczenie kolorów w modzie uległo przeistoczeniu i jak wiele w tej kwestii się zmieniło. Kolory mają także często swoje stereotypowe przypisanie. Róż uznany jest za barwę dominującą u lalki Barbie i stanowi jej główny symbol. Kojarzony jest poprzez

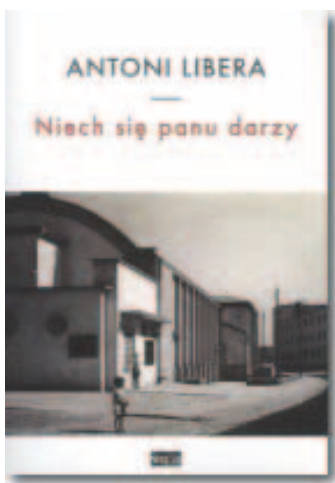
to z uroczymi i delikatnymi cechami oraz dziecinnością. Jednak nie można pewnych utrwalonych dawniej wzorów odwoływać także do dzisiejszych sytuacji. Kolor ten, jak i każdy inny, ma wiele odcieni w swojej paletce. Za przykład może posłużyć pudrowy odcień, który jest wypromowany przez dom mody Chanel. Stworzony w tym kolorze tweedowy kostium damski, zyskał bowiem rangę ponadczasowego. Jak można z resztą zauważyć świat mody jest przewrotny i powiedziałabym, że zarówno do kroju jak i do kolorów podchodzi nowatorsko, łamiąc ustalone reguły i zasady. Obecnie chce się powiedzieć, że każdy może nosić kolor jaki mu się podoba i w jakim czuje się dobrze i to powinno być zawsze stawiane na pierwszym miejscu. Dlatego powinniśmy być dalecy od oceniania innych wyborów, ważne bowiem, abyśmy sami stanowili o sobie.

Czy więc dane kolory pasują tylko do danych typów urody? Styliści od lat spierają się nie tylko na temat typów sylwetek, ale także co do typów kolorystycznych. Mianowicie czy dany typ urody może nosić konkretny kolor? Przyjęło się, że barwy lata to głównie pastele, dla jesieni zarezerwowane są pomarańcze i zielenie, dla wiosny żywe, ale ciepłe odcienie, a dla zimy wyraziste zimne kolory. Jednak czy można osądzać tak łatwo po barwach? W końcu jedną zieleni możemy przedstawić w tak wielu odcieniach, że dobrze będzie w tym kolorze zarówno blondynce jak i brunetce. Daje nam to kolejny dowód na to, iż moda nie jest dziedziną, w której możemy cokolwiek generalizować i przypisywać kolory jak i kroje tylko jednej płci czy osobie o danym odcieniu włosów czy skóry.

Skąd więc pomysły na coraz to nowe zestawienia kolorystyczne, wyrazistsze barwy czy bardziej kontrastowe zestawy? Otóż świat mody podlega ciągłym zmianom i aby wciąż cieszyć się powodzeniem stara się zaskakiwać, stwarzać na nowo, nawiązując do inspiracji sprzed lat. Dlatego też barwy muszą się zmieniać i stawać się coraz ciekawsze i bardziej przyciągać uwagę. Dla przykładu może posłużyć kolor miętowy czyli połączenie pastelowego odcienia błękitu i zieleni, który już dobre kilka sezonów nie schodzi ze świecznika.

Jednak mówiąc o łączeniu kolorów należy wspomnieć o wzorach. Materiały, z których tworzymy bowiem ubrania i dodatki, często wyróżniają się indywidualnymi nadrukami. Jedne z bardziej popularnych to pasy, groszki oraz prążki. Obecnie popularnością cieszą się także nadruki w formie kolorowych zdjęć czy napisów na środku chociażby koszulki, szczególnie jeśli napis ma istotny przekaz.

Jak można zauważyć, kolory to potężna siła, która ma wielki wpływ na modę i stanowi jej nieodłączny element. Może sprawić, że najprostszy fason w odpowiednim kolorze nada inny wymiar kreacji i zmieni całkowicie postrzeganie danej rzeczy. Zarówno w strojach, dodatkach jak i makijażu barwa jest w stanie odmienić cały wizerunek, dodać siły, osobistego wyrazu i przyciągnąć uwagę. Poza przeróżnymi jednak trendami i nowościami trzeba na pierwszym miejscu stawiać nasze osobiste odczucia, gdyż im lepiej sami czujemy się w danej rzeczy, tym lepiej będziemy wyglądać. To strój powinien być naszą ozdobą.



OKO W OKO ZE SOBĄ

Ujmująca proza – tak najkrócej opisałabym tomik opowiadań Antoniego Libery „Niech się panu darzy”. Autor klasycznie, z lekką dozą melancholii i dużym wycuciem harmonii pokazuje nam trzy opowieści o przemijaniu i o przeznaczeniu. Do tego dodaje szczyptę mistrzowsko rozegraną tajemnicę. Całość zaś zamyka w ramach sugestywnego, niemal namacalnego języka. To trzy świetne teksty o upływie czasu, powrocie do dzieciństwa i weryfikacji życiowych postaw. Wspólną klamrą jest przypadkowa lub zamierzona konfrontacja przeszłości bohaterów z ich teraźniejszością. Pozornie zdefiniowali swój świat, ale w głębi czują niepokój, być może rozczarowanie. I właśnie ten moment mierzenia się ze swoimi niepewnościami, mniej lub bardziej zwyczajny, pokazuje nam Libera.

A o czym możemy przeczytać? Poznajemy mężczyznę, który nie lubi świąt, ale jeden przypadkowo wybrany telefon w Wigilię odsłania dawno zapomnianą historię z przeszłości. W kolejnym opowiadaniu mały chłopiec wraz z wujem ogląda budujący się, przedwojenny Żoliborz. U schyłku życia wraca porównać wspomnienia z rzeczywistością. I na koniec historia niedosłego pianisty, który spotyka się z kolegą z Akademii. Obaj dostali kiedyś karkołomne zadanie dyplomowe, które u jednego z nich zadecydowało o wyborze życiowej ścieżki. W tych opowiadaniach nie ma miejsca na błahe rzeczy. Ba, nie ma tu niepotrzebnych fraz czy słów. Ogromna pisarska dyscyplina i samoświadomość warsztatowa. Już samo to pozwala się na rozsmakowanie się w opowiadaniach. A do tego niemal każde zdanie zmusza do refleksji. Nad bohaterami, ich wyborami i nad sobą.

Na kolejną dawkę prozy, autor długo kazał sobie czekać. Nie miał łatwo, bo po genialnej „Madame”, bardziej prawdopodobny był już tylko spadek formy. „Niech się panu darzy” jest jednak jak drugi oddech. Ożywczy. Mądry. Szkoda tylko, że taki krótki.

Antoni Libera, "Niech się panu darzy", Wydawnictwo Więź, 2013



ZAMIECIE WSZYSTKO, ZAWIEJE

„Zamieć” zaczyna się tak, jak przystało na spadkobiercę tradycji Tołstoja czy Czechowa. Powiatowy lekarz, nie bacząc na pogodę, musi jechać do wsi, ratować ludzi przed epidemią. Niestety, na natychmiastową pomoc w swojej wyprawie liczyć nie może. Gdy wreszcie wyrusza w drogę z prostym woźnicą Chrząką, na ich drodze nie tylko staje tytułowa zawierucha, ale też spotkani po drodze ludzie mniej lub bardziej dziwni. Dla których nie liczy się wiele więcej niż czubek własnego nosa i dobry napitek czy inny środek odurzający.

Czytelnik szybko się też orientuje, że w fabule wcale nie chodzi o dotarcie do celu, ale o podróż samą w sobie. Tak, tak - „Zamieć” to powieść drogi jak malowanie. Do tego z klasycznym motywem przemiany wewnętrznej bohaterów. Śnieżna zawierucha, niemożność osiągnięcia celu i coraz liczniejsze i bardziej fantastyczne przeszkody w dotarciu do celu, napędzają akcję i trzymają czytelnika przy lekturze. Trzeba przyznać, że Sorokin ładnie buduje napięcie i nie popuszcza cugli do ostatniej strony. Do tego zgrabnie przemycia rozliczne tropy i nawiązania do największych z rosyjskiej literatury. Znajdziemy i Nabokowa (sen Chrząka), i Tołstoja (schemat fabularny czy motyw nawrócenia), i Czechowa (niby nic się nie dzieje, a dzieje się całe życie), i wielu, wielu innych. Całość zamknięta jest zaś w nienagannej stylizacji językowej na XIX-wieczną powieść. Brzmi nieźle, ale ... po zakończeniu „Zamieci” wpadłam w konsternację. Co mam myśleć o tej książce? Czytało się dobrze? Czytało. Czy miała sens? No niby miała. Jak w każdej swojej powieści pisarz rozprawia się z matuszką Rasiją i niedoskonałościami rosyjskiej duszy. Tylko, że to wszystko u Sorokina już było. Postmodernizm, poetyka snu, narkotyczne wizje, niejednoznaczność bohaterów, nawiązania do wielkich rosyjskich nazwisk i ludowości. Ograne chwytły. Może przydałaby się pisarzowi mała zamieć motywująca do przemiany?

Władimir Sorokin, *„Zamieć”*, tłum. Agnieszka Lubomira Piotrowska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013

Agata Wiśniewska



22.05.2007

Sandomierz

Ucho Igielne

Janina Kądziołka-Filip

Wysmukła chudziutka
wpleciona w mury
stoi na straży wieków
jaki czarodziej przewlecze
przez nią historii nić

Może wiatr dokona cudu
poprowadzi nitkę
utkaną z pajęczyny
z zapachem
skoszonej trawy
a może kwitnącej akacji

Czy przemykające się
babie lato
nie zahaczy
o wyżłobione
przez deszcze i słońce
czasu nierówności

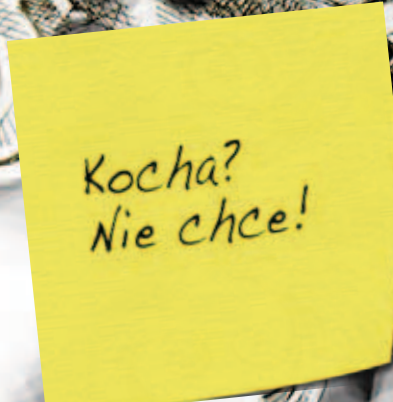
WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. XXJ

Tak jak zapowiadał Thomas, Ursula zaczęła po pewnym czasie zmieniać kształt. Zaczęła poszerzać się w okolicy brzucha. Pani z radością zacierała ręce. To chyba było najlepsze co mogło się przydarzyć. Żeby jeszcze tylko poród obył się bez niepotrzebnych niespodzianek i wszystko ułoży się tak jak trzeba. Cieszyła się każdym dniem. Jak nigdy była miła dla dwórek i służby. Thomas nie wyjeżdżał sam z zamku. Musiał więc zaprzestać swojego procederu. To nic, że wciąż był chłodny i nieprzystępny dla swojej młodej żony. Przywykną. Wszystko się ułoży. Jak urodzi się syn, to będzie wtedy taki dumny jak z Ulryka. A ten się wspaniale sprawuje. Cudowne dziecko. Taki spokojny i mądry. Brakowało jej tylko wieści o najmłodszym synu. Ale przecież brak wiadomości to dobra

wiadomość.

Wiosna szła swoim trybem. Drzewa się zieleniły, a kwiaty zaczynały kwitnąć. Pani wdychała powietrze całą piersią i dziękowała Bogu za wszystko. Nie obyło się także bez hojnych darów dla położonego kilka dni drogi od zamku opactwa. Dlatego też, kiedy zobaczyła przez otwarte okno nadjeżdżających mężczyzn nie zwróciła na to większej uwagi. Jacyś przyjaciele, pewnie w gospodarczych sprawach. W końcu jest wiosna. Thomas na pewno ich odpowiednio powita, jest przecież na dziedzińcu. Powróciła do swojej pracy przy cerowaniu odzieży. A potem wszedł Thomas. Sam. Smutny i zgarbiony. Usiadł naprzeciwko niej. Rozejrzał się po otaczających ją dwórkach i powiedział, że Henryk nie żyje. Nie żyje? Nie zrozumiała słów. Jak to nie żyje? Przecież to



Kocha?
Nie chce!

niemożliwe! Jej Henryk! Niemożliwe. Nie, coś się komuś pomyliło. Nie, nie, to nieprawda. To tylko wierutne kłamstwo, aby popsuć jej szczęście. Henryk jest zdrowy i na pewno przyjedzie za dzień czy miesiąc. Przecież jej syn, jej sokół nie mógł polec w jakimś pojedynku. To nieprawda. Wszyscy ją okłamują! Perfidni i obrzydliwi łgarze. To kłamstwo. Przecież był tu w tamto lato. Niedługo znowu przyjedzie. Co z tego, że w imię jakiejś Izabeli. Co z tego. Jaka Izabela? To wszystko kłamstwo. Kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo. Ohydni kłamcy...

Pani zakręciła się i rozejrzała nieprzytomnym wzrokiem po otaczających ją ludziach. Potem spokojnie poszła do swojej sypialni i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Nie doszedł już żaden więcej dźwięk. Minął dzień, drugi, trzeci. Pani nie

opuszczała swojej komnaty. Siedziała na łożu i patrzyła się w okno. Patrzyła. Odpowiadała krótkimi zdaniami na zadawane pytania lub nie odpowiadała wcale. Prawie nie jadła. Czekala. Na co? Jej włosy przetykane do tej pory tylko siwymi pasemkami teraz całkiem zbieleły, a usta ściągnięty się. Dwórki w jej obecności gasiły swoje dziewczęce uśmiechy i milkły. Thomas próbował do niej zagadywać, ale na próżno. Przystawał istnieć. Nie interesowało jej to, co dzieje się z dworem. Zresztą wszystkie sprawy wzięła na siebie Ursula. Kto to jest Ursula? Aha, żona Thomasa. Kiedy przyjedzie Henryk na pewno będzie szczęśliwy, że brat się ożenił. Z taką ładną i pracowitą dziewczyną. A może sam przyjedzie z własną żoną? Dlaczego nikt jej nie powiadomił o ślubie jej dziecka? Będą mieli dzieci, mnóstwo



Lubi?
Nie dba!

dzieci. A ona ich będzie doglądać. Będzie się nimi zajmować. Tulić do siebie jak jego. Małe śliczne aniołki. Czego ta Ursula znowu chce? Jakie klucze? Od skrzyni? Od jakiej skrzyni? Ale przecież tam jest strój dla Henryka, na jego ślub. Nie może zabrać tych rzeczy. A może Henryk przyjechał? A może będzie się żenił? To przecież najwyższy czas. Zerwała się i podbiegła do okna. Oślepiło ją stojące wysoko słońce. Ktoś kręcił się po dziedzińcu, ale to nie był jej Henryk. Głupia Ursula, sama nie wie czego chce. Na co jej męskie stroje. Czego się szarpie? Niech lepiej uważa na ten swój wielki brzuch, żeby jej nie odpadł. No to co, że jej wydarła klucz. Ale jeszcze nie dostała skrzyni. Nie! Dopóki ma tyle sił, aby stać na nogach. Usiadła ciężko na skrzyni. Nie szarp mnie, nie rozumiesz? To nie jest twoja skrzynia. I gdzie ona

teraz pobiegła. Głupia dziewczyna. O! przyszedł Thomas. Też chce tę skrzynię. Uparli się! Wszyscy chcą strojów Henryka. Nic z tego! Nie! Nie odda jej. Zostawcie mnie w spokoju. Gdzie mnie niesiesz. Nie chcę na łóżko. Puszczaj. Odejdźcie od ubrań mojego syna. Zostawcie je. Precz. Wynocha. Dlaczego jesteście tacy okrutni? Łzy spłynęły jej po policzkach. A potem już płynęły i płynęły i nie mogły przestać.

– Twoja matka znowu załatwiła się pod siebie – gniewnie powiedziała Ursula witając wchodzącego przez drzwi męża.

– To trzeba było sprzątnąć.

– Sprzątnęłam, ale mam już tego dość. Ile razy mam ją przebierać. I co ja jestem? Też muszę o siebie dbać. Nie mam siły, aby się z nią siłować. Jeszcze coś się stanie dziecku.

– Nic się nie stanie, a to twój obowiązek, w końcu to ty jesteś teraz panią. Czego chcesz, żeby służba ją przebierała?

– A gdyby mnie nie było?

– Ale jesteś i nie ma co do tego wątpliwości.

– Thomas, proszę cię – zaczęła nagle łagodniej – proszę, ja naprawdę zbliżam się do swojego czasu, jest mi bardzo ciężko.

– Jesteś kobietą i musisz to znieść.

– Jak możesz być taki obojętny? To przecież także twoje dziecko!

– Ja się o nie nie prosiłem.

– Thomas – jęknęła, widząc jego całkowicie obojętne spojrzenie – Thomas, dlaczego? Ja wiem, nie jestem może najlepszą żoną... Wiem, jestem może czasem zbyt płaczliwa, ale przecież to dziecko ci w niczym nie zawiniło? – próbowała go pogłaskać po ramieniu, ale odsunął

się niechętnie.

Popatrzyła za nim, spuściła wzrok i ciche, ciężkie łzy spłynęły jej spod powiek. Nie spojrzał na nią. Ze splecionymi ramionami patrzył na wiszący wciąż portret Lucindy. Pobiegła za jego wzrokiem

– Nienawidzę jej – syknęła przez zęby i podbiegła do obrazu. Z wysiłkiem ściągnęła go ze ściany i nim Thomas zdążył zareagować uderzyła nim o oparcie fotela. Płótno rozdarło się, a zwieńczenie fotela wysunęło się przez namalowane kobiece oko. Mężczyzna rzucił się do niej i szarpnął za ramę portretu. Wyrwał go bez większego wysiłku. Odtrącił ją na tyle mocno, że przesunęła się kilka kroków do tyłu i oparła plecami o ścianę.

– Zostaw mnie! Nie chciałem ciebie! Nie chce tego dziecka! Nienawidzę cię! Jesteś głupia i brzydka. Nic nie



potrafisz sama zrobić. Bez przerwy płaczesz. Nawet w łóżku nie ma co z tobą zrobić. Nic z ciebie nie mam. Tylko same kłopoty. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Wracaj do swojego ojca. Nie chce cię więcej widzieć – potem ściskając rozdarty portret wyszedł trzasnąwszy drzwiami, aż zatrzęsła się framuga. Dziewczyna stała oszołomiona i prawie nieprzytomna. Trzymała się dłońmi za skaczący nerwowo brzuch. Z sąsiedniej komnaty, wywabiona hałasem wysunęła się pani. Popatrzyła na nią uważnie. Jakby starała się przypomnieć sobie kim jest.

– A Lucinda – powiedziała po chwili – czy coś się stało?

Ursula spojrzała na nią nieprzytomnie, a potem przytrzymując wciąż brzuch wybiegła do siebie. Wyjechała następnego dnia. Nikt się z nią

oprócz dwórek nie pożegnał. Thomas nakazał tylko odstawić z powrotem konie, gdy dojedzie do domu. Oglądała się za siebie. Może jej jeszcze pomacha na pożegnanie? Może się jeszcze rozmyśli? Widziała jednak jak mąż wszedł do komnat nie doczekawszy nawet momentu, gdy minie bramę. Rozpłakała się.

Thomas tymczasem udał się do izby, w której bawił się jego syn. Podniósł go do góry i widząc jego nieporadnie majtające nóżki przytulił do siebie. Wyszedł z nim na dziedziniec. Ursula już musiała wjechać do lasu, bo nie było widać zaprzęgu. Westchnął i okręcił malca wokół siebie. Za nimi wysypały się mamki i niańki. Stanęły na szczycie schodów, gotowe w każdej chwili odebrać dziecko, jeżeli pan tak nakaże. Przyglądały się jego zabawom z synem. Poszeptując między sobą, starannie uważały, aby



Szanuje?
Żartuje!

żadne słowo nie doszło do jego uszu. Thomas postawił dziecko na ziemi i zaczął delikatnie prowadzić je za rączki. Malec szczebiotał i gaworzył po swojemu. Zadowolony z pobytu na powietrzu rozglądał się ciekawie po okolicy. Mężczyźnie zrobiło się smutno, kiedy popatrzył na Ulryka w promieniach słońca. Miał czarne, malutkie loczki i duże ciemne oczy. Był ślicznym dzieckiem. Gdyby tylko ona z nimi była. Na pewno byłaby szczęśliwa. Mówią, że jest w niebie. Gdzie zresztą indziej mogłaby być? Pewnie na nich teraz patrzy. Pewnie widziała jego okropne zachowanie względem Ursuli. Nie powinien tak się zachować. Ale było już za późno. Nie powinna niszczyć obrazu Lucindy. Po prostu nie powinna. Zamyślił się. Malec kroczył teraz prawie sam. Stawiał kroczyki jeden za drugim. Thomasa z zamyślenia wyrwały

ciche okrzyki niańki. Spojrzał na Ulryka. Dziecko dumne z siebie, nie trzymając się ojcowskiej ręki szło przed siebie.

– Stajesz się prawdziwym wojakiem – zaśmiał się Thomas.

Malec potknął się na nierówności i przewrócił. Rozpłakał się ze strachu i bólu. Ojciec czym prędzej go podniósł i przytulił do siebie. Zauważył jeszcze, że usta dziecka są zakrwawione. Przetarł je rękawem kaftana i szybko skierował do mamek.

– No, twoja pierwsza rana. Musisz się przyzwyczaić.

Kobiety momentalnie zajęły się dzieckiem.

KBC

Słodko-kwaśny. Kwaśno-słodki.

Anna Ciemniecka



Ufnie wtulone w mamę, maleńkie serduszko bijące tuż przy jej dużym, już nie w niej. Zaczyna odmierzać własny rytm, ale zsynchronizowany z maminym, potrzebujący tego jej jak powietrza, którym dopiero co zaczął oddychać. Już może go przytulić, spojrzeć w oczy jak wszechświat i obiecać, że podaruje mu cały ten świat. Powitanie. Dwa duże serca biją tak daleko od siebie w zupełnie innym rytmie, chociaż jej nadal bije przede wszystkim dla niego. Tak dawno nie widziała jego oczu, podobnych do jej własnych. Świat cały wziął sobie w posiadanie, ale jakoś zabrakło w nim dla niej miejsca. Żegnanie, aż do ostatniego pożegnania, gdy jedno z serc swój rytm zamieni w ciszę. Nawet gdy serca przeplatają swoje rytmy i często oczy oglądają ten sam kawałek świata oraz odzwierciedlają nawzajem swoje dusze, nawet wtedy w końcu przychodzi to pożegnanie...

Bose stopy rozchlapują jesienne kałuże, mokra sukienka przylega do rozgrzanego ciała, dłonie chwytają kojące krople, włosy zwijają się w wodorosty, tańczy w deszczu, w radości, w zachwycie.

Lodowate stopy wygrzewają się w misce z ciepłą wodą, lód w kościach rozpuszcza gorąca herbata z malinowym sokiem, zimne dłonie ściśle obejmują kubek, piżama lepi

się do rozgrzowanego ciała, kuli się pod puchatym kocem, w gorączce, w „a nie trzeba było”.

Nawet jeśli wspomnienie i tak budzi jedwabistą słodycz w ciele, przedziera się ona przez cierpkość bynajmniej już nie tak miłych dreszczy.

Słodycz uśmiechu, gdy nowy, wymarzony naszyjnik przyjemnie chłodzi skórę i pięknie lśni na jej brązowiejącym dekolcie, a co najważniejsze – trzymają się za ręce na brzegu morza różowiejącego od zanurzającego się w nim słońca, nareszcie mając czas tylko dla siebie.

Kwaśny smak odkrycia, że cenna kolia zniknęła, a dodatkowo skóra niemiłosiernie piecze oraz zrzuca swoje kolejne warstwy. Jakby tego było mało – pokłócili się już w pierwszy dzień pobytu w wyczekanym Raju. Chociaż nadal słońce pięknie skrzy się na lazurowej wodzie, a błękit zewsząd wpływa przez oczy do duszy, obmywając ją z wszelkich szarości, do sielankowej słodyczy kolejnych dni wkropił się lekki posmak skwaszenia...

„Tak” niemalże wyszeptane ze wzruszenia, z pewnością i wielką czułością. „...Cię nie opuszczę, aż do...”. Złączone dłonie i serca, wspólna droga przez kościelną nawę w jaśniejące przed nimi życie.

„Już nie...” niemalże wykrzyczane z poruszenia, z pewnością i wielką złością. „Odchodzę”. Dłonie nie potrafiące znieść swego dotyku, serca obecności, każde rusza w swoją ciemniejącą przed nim drogę. Chociaż wspomnienia takie piękne, dopóki doktor czas nie zaleczy ran, będzie przeżerał je kwas, wypalający ich słodycz.

Słodki uśmiech, gdy wszystko maluje się różowo, kwaśna mina, gdy wygląda na to, że to szarość, tylko na chwilę zabarwiona od zachodu słońca. Skwaszona mina, gdy „czarno to widzi”, słodycz w sercu, gdy wygląda na to, że jednak wszędzie słońce.

Nektarynka słodka tuż pod jedwabistą skórą, a kwaśna tuż przy pestce. Pyszne lody osładzające pochmurne przedpołudnie, a budzące niesmak nieco później, zatruwając resztę dnia. Rozkoszne wirowanie na parkiecie, wibrowanie w każdej komórce i ból spuchniętej kostki, efekt jednego, jakże lekkiego skoku. Kwas lekarstwa wykrzywiający buzię, a potem nareszcie powracający uśmiech. Kwaśne miny nad zeszytem od matematyki w takie piękne popołudnie, słodycz czerwonego paska na świadectwie, dumy rodziców i całych dni pełnych lasu, jeziora i słońca. Serce omal wyrwywające się z piersi, słone krople spływające po twarzy, coraz cięższy plecak i coraz dłuższa droga pod górę, głębokie westchnięcie i łzy zachwyty napływające do oczu, gdy u stóp rozpościera się świat.

Zakwasy w niemalże każdym mięśniu, w każdej komórce, serce przepompowujące górę zmęczenia, płuca chwytające każdy oddech jak ostatni. Pot zraszający rozognioną skórę. Świetlista wstęga maratońskiej mety, chociaż nikt

nie wierzył, chociaż to „niemożliwe”, nie ona...

Kwas palący serce jak żywy ogień, spalający marzenia o wszystkich tych wspaniałych „kiedyś” i tych zwyczajnych, cudownych „teraz”. Wyrok wydany pięć lat temu, czarna otchłań otwierająca się w sekundę, pochłaniająca jutro, pożerająca przyszłe teraz. Inny kwas płynący żyłami, wyżerający sobie przez nie nadzieję, chociaż „nadziei już nie ma, tylko cud”. Najwyżej trzy, cztery, może pół.

Słodycz kolejnego wdechu o poranku, kolejnej herbaty wypitej wspólnie wieczorną porą, aksamitu trawy pod stopami, miękkości psiego futerka pod dłonią, ciepła dłoni wpasowującej się w dłoń. Słodycz dzisiaj, słodkość jutra.

Trud każdego dnia z prawie dziewięciu przeleżanych miesięcy, lęk czy kolejny dzień zatrzyma w niej mieszkańca jej powoli ogromniejącego brzucha, którego zapraszała do siebie tak długo, że aż trudno było uwierzyć, że oto stało się, przybył. Wielki ból opuszczania przez niego jej ciała, przemieszany z radością, że oto dzieje się i że to dobry czas. Zmieszany też ze strachem o to, czy czas ten do końca będzie dobry i czy stanie się początkiem. Wielka błogość trzymania go w ramionach, nareszcie pełnych.

W tej restauracji najpopularniejszy jest sos słodko-kwaśny. Może jeszcze czasem z odrobiną gorzkości, bywa też nieco słony, bywa i ostry. Na pewno nie mdły. W wielu - jeden smak. O(d)żywczy.

AC





W pięciu smakach

Paweł Radźko

Życie byłoby pozbawione smaku, gdyby nie kreatywność. 15 czerwca w reaktywowanym hotelu Forum, w klubie Forum Przestrzenie odbyła się szósta edycja krakowskich Targów Dizajnu. To wyjątkowa okazja do nabycia niezwyklej rzeczy lub poznania niezwyklej osoby i przeżycia czegoś wspaniałego. Mieszkanie ze studentami artystycznego projektowania ubioru ma pewne zalety. Na przykład, wypad na imprezę, o których sam prawdopodobnie bym nawet nie słyszał.

Upalne sobotnie popołudnie. Idziemy do Forum nad Wisłą, stary hotel, dziś mieszczący lokal Forum Przestrzenie, „hipsterską Mekkę Krakowa”. Przed wejściem – jak zwykle tutaj – leżaczki i uroczy widok na panoramę królewskiego miasta, niezwykle miejsce. To tak jakby nowe łączyło się ze starym: oglądać zamek na Wawelu spod komunistycznego hotelu, w tle słysząc smukłą, elektroniczną nutę i frazesy współczesnego slangu podczas nietypowej imprezy. Można tu także uraczyć się orzeźwiającym drinkiem lub zimnym piwkiem.

Wchodząc do środka zagłębiając się w to, co można nazwać esencją dzisiejszych mód i tego, co na topie. Wypożyczalnia longboardów, zdrowa żywność, bikepolo. W głównej sali stoiska artystów, o których raczej nie usłyszycie w „wielkich” mediach. Rzeźbiarze,

malarze, dizajnerzy, krawcy, styliści, projektanci, fotografowie; wszystkich ich łączy jedna rzecz: pasja. To **ludzie z pomysłem**. Młodzi, twórczy i nadzwyczaj pogodnie usposobieni. Sprzedają ubrania, ozdoby, biżuterię, buty, książki, porcelanę, obrazy, a nawet meble. Wśród nich dziewczyna, sprzedająca losy na loterię, z której dochód został przeznaczony na Przytulisko dla bezdomnych psiaków pod Krakowem. Wszystko to pod jednym dachem.

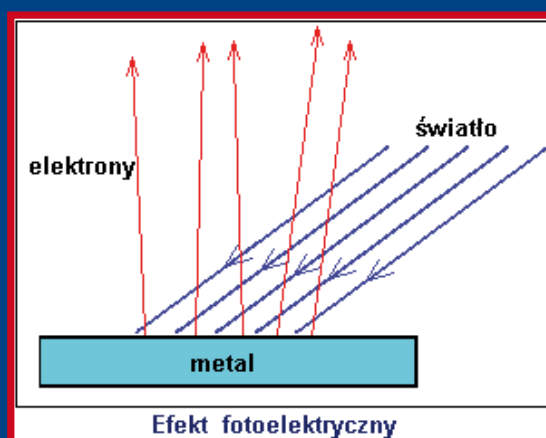
Jest to impreza nawet bardziej niż wyjątkowa. Powiedziałbym, że ona i wydarzenia podobne do niej są wyrażeniem pewnego Zeitgastu, ducha epoki, roku 2013, ponieważ dziś każdy rok – z powodu szalejącej różnorodności – zdaje się być inną erą z własnymi modami, własnymi ideami i własnymi obyczajami. A może jest to przyszłość – przyszłość pełna szczerych uśmiechów i ciekawych pomysłów? Tak czy inaczej myślę, że każdemu mogę gorąco polecić Targi Dizajnu w Krakowie. Odnajdą się na nich chyba wszyscy, a przy okazji można tam odetchnąć wolnością. Pozostaje nam już tylko czekać na kolejną edycję.

Specjalne podziękowania dla Karoli Skwarkowej, Pauliny Stefani oraz Sebastiana Łuszczka

PR

Dualizm korpuskularno-falowy, czyli ni to **fala** ni to **cząstka**

Michał Lewandowski



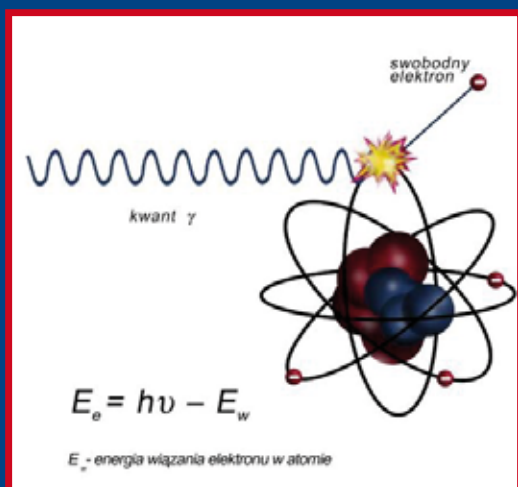
Rysunek 1.
Schemat działania efektu
fotoelektrycznego.
Padająca na metal wiązka
światła wybija z niego
elektrony.

To, że światło zachowuje się jak fala, wie prawie każdy. Ale czy alby na pewno jest ono falą? A jeżeli nie jest to czym? A może jest nie jednym?

W czasach dawnych przyjmowano za pewnik to, że światło ze swojej natury jest falą. Nikt tego nie próbował kwestionować. Zachowywało się jak fala,

czyli na przykład podlegało dyfrakcji, czyli ugięciu się promienia światła na bardzo wąskiej, porównywalnej z długością fali, szczelinie. Przenosiło również energię tak jak innego rodzaju fale.

Ale pojawił się efekt fotoelektryczny i niestety klasyczne, czyli falowe rozumowanie o świetle nie sprawdzało się. Efekt ten polega na tym, że gdy oświetlimy



Rysunek 2.

Schemat działania efektu fotoelektrycznego na poziomie atomowym. Światło wybija z orbity atomowej elektron.

katodę wiązką światła, zostają z niej wybite elektrony. Z punktu widzenia klasycznego, kiedy światło jest falą, efekt taki zaszedłby zawsze, niezależnie od długości fali, czyli energii przenoszonej przez światło, po jakimś czasie kiedy energia z padającego światła skumulowałaby się w katodzie do odpowiednio dużej wartości i wtedy pozwoliła wybić stamtąd elektron. Jednak w doświadczeniach dzieje się to natychmiast dla odpowiednio dużych długości fali, albo w ogóle dla mniejszych energii, niezależnie jak długo by czekać.

Efekt ten znany był od roku 1887, kiedy to Hertz opublikował wyniki badań nad przeskokiem iskier w iskrowniku cewki odbierającej fale elektromagnetyczne, ale dopiero w roku 1905 Einstein spojrzął na światło z punktu widzenia kwantowego. W tym momencie światło staje się nie tylko falą, ale i cząstkami (fotonami). Uznał on, że światło jest właśnie wiązką cząstek o różnej energii. Każda długość fali światła, czyli inaczej każdy kolor ma swoją własną energię. Czyli że, jeżeli mamy światło monochromatyczne,

o jednym tylko kolorze, to wtedy wszystkie fotony mają praktycznie jednakową energię. Podczas wybijania światło jest pochłaniane w postaci porcji energii (kwantów energii), równych $h\nu$, gdzie h jest to stała Plancka, a ν oznacza częstotliwość fali. Jeden elektron może pochłonąć energię tylko z jednego fotonu. Dodatkowo, podczas wybijania elektronu z metalu, wymagana jest pewna praca wyjścia, zależną do materiału z którego wybijamy elektron, jeżeli padające fotony mają energię mniejszą niż ta praca wyjścia – efekt nie nastąpi. Jeżeli energia fotonu jest większa niż praca wyjścia, to pozostała nadwyżka energii jest przekazywana fotonowi w postaci energii kinetycznej.

Tak więc światło – i nie tylko ono, bo wszystkie obiekty kwantowe przejawiają te cechy – jest jednocześnie falą i cząstką. Takim słodko-kwaśnym miszmaszem, niewiedomo czym tak naprawę, ale jednak czymś co jest, ma się dobrze i działa.

From the series:

My Travels

Jerusalem

The Earth was Shaken

part I

Agnieszka Thomassen



Whipped by Rain

Storm 110 km per hour and monsoon rain were shaking the entire hotel building, night and day for 7 days. Entire Tel Aviv was flooded with water; the drivers couldn't drive on the streets what only intensified their state of general excitement. Sitting in the hotel room, wasting my precious time, I was staring blankly at the shaking wall. Bedside lamps were flickering as if moths were stuck inside of them, and the table butted against the wall as if some young couple romped about in the room next door. White flakes of scraped paint, like dandruff, gently fell on the black tabletop creating contrast. I heard the sound of falling pebbles, looked out the window and saw grains of hail, densely pasting all over the entire wooden surface of the balcony. It reminded me of a golf course full of golf balls. Watching the panorama through the rain blurred glass; I thought that something was missing in this chaotic landscape. It was only after a second that I realized that the whole beach was gone! The view was different than the one on Google Maps where beautiful stripe of yellow beach stretches from East

Z serii:

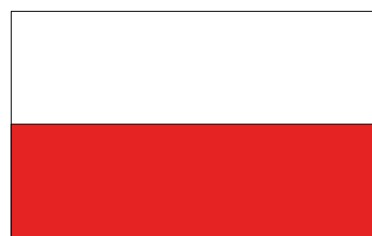
Moje podróże

Jerozolima

Zatrzęsła się ziemia

część I

Agnieszka Thomassen



Biczowani deszczem

Wichura 110 km na godzinę i deszcze monsunowe trzęsły całym budynkiem hotelowym dzień i noc przez 7 dni. Cały Tel Awiw został zalany wodą, kierowcy nie mogli przejechać ulicami, co tylko nasiliło ich stan ogólnego pobudzenia. Siedząc w pokoju hotelowym, tracąc swój cenny czas, wpatrywałam się bezmyślnie w trzęsącą się ścianę. Lampki nocne drgały jakby utknęły w nich ćmy, a stół uderzał o ścianę jakby jakaś młoda para w noc poślubną baraszkowała w pokoju obok. Białe płatki obdrapanej farby, niczym łupież, delikatnie opadały na czarny blat stolika, tworząc kontrast. Usłyszałam dźwięki spadających kamyków, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ziarna gradowe, gęsto oblepiające całą drewnianą powierzchnię balkonu. Wyglądał on teraz jak pole golfowe pełne białych piłek. Tak sobie obserwując panoramę przez zamazaną deszczem szybę myślałam, że czegoś mi brakuje w całym tym chaotycznym krajobrazie. Dopiero po sekundzie zorientowałam się, że zniknęła cała plaża! Widok był inny aniżeli na zdjęciu w Google Maps, gdzie piękny pas żółtej plaży rozciąga się jak długa wstęga od





to West. I was tired of this weather, but also hoped that the wind force would drop to, at least, three degrees in Beaufort scale. Water was foaming as if killer whales surrounded fish by surprise, hitting the water with their huge tails, deafening and killing their prey. The sound of water whipped by rain, heightened with an echo reflected from the sea, started getting on my nerves. My "strings" which, so far, were tuned by a professional violinist, were now brutally pulled by a street lout. My beautiful music transformed into a tangle of sounds made during the drunken party at four am, in some country bar. Strong air jets were flying with a whistle, from one side to the other, lashing the walls of the building, reminding me of lost ghosts tormenting people. I felt a desire for peace, of wind gently stroking my skin and touching the leaves, making them rustle pleasantly. The hotel was beautifully white, clean, and modern, but the windows had cracks in them what created small floods in the hotel rooms, when the weather was out of control. Throughout the entire hurricane-monsoon season, I consoled myself about the building being adapted to such extreme conditions. I soon doubted the possibilities of the architects when the windows started quivering madly in our bedroom. It looked like the god of the sea and winds, Njord, pounded his large fist on the windows. At that moment I understood the need of the Nordic goddess, Skadi, of returning to her beloved mountains.

I heard the sound informing me that I had received e-mail. My godfather wrote me that there was an announcement on the local news-channel about the roads to Jerusalem being closed just because of strong... snowfall! Hurricanes, snowfall- I had not expected such bad weather in this warm climate!

At that moment I imagined my mother sweetly saying that every time we are some place with



wschodu do zachodu. Byłam zmęczona tą pogodą, ale byłam też pełna nadziei, że siła wiatru w końcu spadnie do co najmniej trzech stopni w skali Beauforta. Woda pieniała się, jak gdyby orki otoczyły z zaskoczenia ryby, uderzając wielkimi ogonami o wodę, ogłuszając i zabijając swój łup. Szum wody biczowanej deszczem, spotęgowany echem odbijającym się od morza, zaczął mi grać na nerwach. Moje „struny”, które do tej pory były nastrojone przez profesjonalnego skrzypka, były teraz brutalnie pociągane przez ulicznego chama. Moja piękna muzyka przekształciła się w płataninę dźwięków wydawanych podczas pijackiej zabawy o czwartej nad ranem, w jakimś wiejskim barze. Silne strugi powietrza fruwały ze świstem w różne strony chłostając ściany budynku, przypominając mi zagubione upiory dręczące ludzi. Zapragnęłam spokoju, wiatru, który będzie delikatnie gładził moją skórę i dotykał liście, powodując ich przyjemny szelest.

Hotel był przepięknie biały, schludny i super nowoczesny, ale okna miały szpary, co tworzyło małe powodzie w pokojach hotelowych kiedy pogoda wymykała się spod kontroli. Przez cały okres huraganowo-monsunowy pocieszałam się, że budynek jest przystosowany do takich ekstremalnych sytuacji. Szybko zwątpiłam w możliwości architektów, kiedy szyby zaczęły drgać w naszej sypialni jak szalone. Wyglądało to tak jakby sam bóg morza i wiatrów Njord walił nam złowrogo wielką pięścią w szyby. W tamtej chwili zrozumiałam pragnienie nordyckiej bogini Skadi, która tęskniła za powrotem w ukochane góry.

Usłyszałam dźwięk informujący mnie, że otrzymałam e-maila. Mój chrzestny napisał, że wiadomości w telewizji podają komunikat o zamknięciu drogi do Jerozolimy z powodu silnych opadów... śniegu! Huragany, śnieg – nie spodziewałam się tak złej pogody w tym ciepłym klimacie!



my husband, the weather problems intensify. When we moved to California, there was an increase in earthquakes, mudslides, and forest fires. When we were in Chicago, we had the coldest winter for over 20 years, and during which the temperature reached minus 27 degrees! Even our dog didn't want to go outside wearing a warm, pink sweater (maybe he didn't like the pink color?). While in Israel, we experienced hurricane weather, what local residents described as completely "abnormal." Diverging from the joke of my mum, and approaching the matter more seriously, we eyewitness the change of the balance on our planet that desperately is trying to keep an equilibrium.

For a few days we couldn't go anywhere or explore anything. With difficulty, we were walking to the restaurant each day located 30 meters away from the hotel. While bursting through strong streams of the wind, my husband was usually holding on to the wall with one hand, clenching me with another hand with all his might, so that I wouldn't fly into the outer space like a rocket- blown away by strong windstorm. His grip like a vice proved to me how strong of a man he was and how I wouldn't want to be in the place of somebody who stepped on his toes. On the other hand, his concern for me made me think of him as of a turtle with a hard shell and soft interior. Thick rain flowed down my face, pasting my eyes with water. I felt like a butterfly that cannot move because of its wet wings. Through half open eyes, I saw an open coat of my husband that filled out with air like a parachute. I tried to tell him to close it but my voice scattered in the air, bouncing off of giant rain droplets. It became dark outside. In the distance the palm trees looked like somebody sketched them with a pencil, filling the picture out with black ink. I looked over my shoulder and saw a shadow of a man whose thin legs and long arms undulated in rain. The shapeless body hardly



W tamtej chwili wyobrażałam sobie moją mamę słodko mówiącą, że za każdym razem jak gdzieś jesteśmy z mężem, nasilają się problemy pogodowe. Kiedy przeprowadziliśmy się do Kalifornii, był wzrost trzęsień ziemi, powodzi błotnych i pożarów. Kiedy byliśmy w Chicago, mieliśmy do czynienia z najzimniejszą zimą od ponad 20 lat, a kiedy to temperatura wynosiła minus 27 stopni! Nawet nasz pies nie chciał wychodzić na dwór ubrany w ciepły, różowy sweterek (może nie podobał się mu kolor?). Przebywając w Izraelu, mieliśmy pogodę huraganową, co lokalni mieszkańcy określili jako zupełnie „nienormalną.” Odchodząc od żartu mojej mamy, a podchodząc do sprawy bardziej poważnie, to jesteśmy naocznymi świadkami zmiany równowagi na naszej planecie, która rozpaczliwie stara się utrzymać balans klimatyczny.

Przez kilka dni nie mogliśmy nigdzie pojechać, nic zwiedzić. Z trudem chodziliśmy codziennie do restauracji, położonej 30 metrów od hotelu. Przedzierając się przez silne strumienie wiatru, mąż, trzymając się zazwyczaj jedną ręką ściany budynku, przytrzymywał mnie drugą ręką z całej siły, żebym nie wyleciała w kosmos jak rakieta, porwana przez wichurę. Jego uścisk imadła udowodnił mi jak silnym jest on mężczyzną i jak bardzo nie chciałabym być na miejscu kogoś kto jemu naprawdę podpadł. Z drugiej strony jego troska o mnie sprawiała, że coraz bardziej przypominał mi on żółwia, o twardej skorupie i miękkim wnętrzu. Gęsty deszcz spływał po mojej twarzy, zalepiając mi oczy wodą. Czułam się jak motyl, który nie może się ruszyć, bo ma mokre skrzydła. Przez pół otwarte oczy widziałam odpięty płaszcz męża, który wypełnił się powietrzem jak spadochron. Starałam się mu powiedzieć, żeby go zapiął, ale mój głos rozproszył się w powietrzu odbijającym się od wielkich kropel wody. Zrobiło się ciemno. W oddali palmy wyglądały jakby ktoś je naszkicował ołówkiem, wypełniając rysunek czarnym tuszem. Spoglądałam



touched the ground. I was hoping that wind would not kidnap skinny Eric.

Pig-Duck-Rabbit Flu

In the morning I felt someone's cold hand against my forehead. In far I heard the voice: "Aga! Aga! Do you have pneumonia again?" This question terrified me to the very core thinking of what I went through in the Polish hospital a few months ago. Unfortunately, the bad weather had caught me with its huge paws. This time I felt like I was going through something worse than bird flu. My sickness symptoms were so obnoxious that they probably resulted from a new mutation of a flu virus of every bird, mammal, and reptile I had ever known! My pig-duck-rabbit influenza reminded me of falling into the feverish state like into boiling water with sudden periods of spontaneous recovery of my consciousness. I became a participant in some Halloween movie in which I could hear the rusty witches' laughter, pushing me with a huge soup spoon deeper into the metal witch's pot. Sorcerers twisted my limbs, "breaking my bones" and causing pain all over my body. Spells casted by them sounded like whizz and whistle. Hot worms crawled inside of my body, moving from one organ to another, increasing the body's temperature. After three days of bed rest and general delirium, I finally woke up thinking about this and that, feeling like a newborn. In that very moment I understood the meaning of happiness, considering the moments just after being cured, as the biggest joy in the life of a man. Relishing my health I thought of a place where I was and which I didn't visit just because I was laying flat in the bed.

CDN

Agnieszka Thomassen



przez ramię i zauważyłam cień człowieka, którego cienkie nogi i długie ramiona falowały w deszczu. Bezkształtne ciało z trudnością dotykało ziemi. Miałam nadzieję, że wiatr nie porwie chudego Erica.

Grypa świńsko-kaczo-królicza

Rano poczułam jak ktoś przykładła mi zimną rękę do mojego czoła. W oddali usłyszałam głos: „Aga, Aga! Czy masz znowu zapalenie płuc?” Samo pytanie przeraziło mnie do szpiku kości na myśl o tym, co przeszedłam kilka miesięcy wcześniej w polskim szpitalu. Niestety pogoda huraganowa dopadła mnie swoimi wielkimi łapami. Tym razem czułam, że choruję na coś gorszego od ptasiej grypy. Moje symptomy chorobowe były tak dokuczliwe, że były one chyba wynikiem nowej mutacji wirusa grypy każdego gada, ptaka i ssaka jakiego znam! Moja grypa świńsko-kaczo-królicza przypominała wpadanie w gorączkę jak we wrzącą, bulgocącą wodę oraz czasowe powracanie do przytomności. Stałam się uczestniczką jakiegoś filmu Halloween'owego, w którym słyszałam zardzewiały śmiech czarownic, wpychających mnie wielką łyżką wazową do metalowego kotła. Wiedźmy wykręcały moje kończyny „łamiąc mi kości”, powodując ból w całym ciele. Wymawiane przez nie zaklęcia brzmiały jak świst i gwizd. Gorące robaki pełzały w moim ciele, przemieszczając się z narządu do narządu, podwyższając jego temperaturę. Po trzech dniach spania i ogólnego otumanienia, w końcu się obudziłam rozmyślając sobie o różnych błahych sprawach, czując się jak nowonarodzony człowiek. W tamtym momencie zrozumiałam znaczenie szczęścia, uznając chwile zaraz po wyzdrowieniu za największą radość w życiu człowieka. Delektując się zdrowiem, na myśl przyszło mi miejsce, w którym byłam, a którego nie zwiedzałam bo przecież leżałam plackiem w łóżku.

CDN

Agnieszka Thomassen



ΕΛΛΑΔΑ - GREECE - GRÈCE - GRIECHENLAND - GRECIA



Postage paid

PHOTOS: SPIROS & ALEXANDRA SPIROU

NORGE • NORWAY • NORWEGEN • NORVEGIA • NORUEGA • NOORWEGEN • NORVÈGE • NOORUWE
Vågen gjestehavn, Stavanger. Vågen guestharbour, Stavanger.



boite: SD313